Cena 6 pensów

GAZETA NIEDZIELNA

ROK 2. LONDYN, 9 KWIETNIA 1950. NR. 15



X. WŁADYSŁAW STANISZEWSKI

ZMARTWYCHWSTANIE PAŃSKIE
RĘKOJMIĄ NASZEJ NIEŚMIERTELNOSCI

Po strasznych męczarniach fizycznych i gehennie naigrawań i bluźnierstw, po katuszach konania na krzyżu, po przebiciu serca włócznią i złożeniu w grobie strzeżonym przez specjalną straż — „trzeciego dnia zmartwychwstał".

Pomyślmy tylko, co by było, gdyby nasze chrześcijańskie „Credo" kończyło się na słowach: „Umęczon pod Ponckim Piłatem, ukrzyżowan, umarł i pogrzebion. Amen". Co by było, gdyby taki był finał „Żywota i Męki Pana naszego Jezusa Chrystusa" [illegible] ną jest wtedy wiara nasza" — mówi św. Paweł. „Daremne byłoby przepowiadanie nasze". Kościół Chrystusowy nie przetrwałby wtedy tylu wieków.

Chrześcijaństwo istnieje przez Zmartwychwstanie Chrystusa. Zmartwychwstanie Pana Jezusa jest faktem historycznym, stwierdzonym przez świadków, którzy Go Zmartwychwstałego widzieli, z Nim rozmawiali, z Nim jedli i dotykali Go. „Niektórzy jednak powątpiewali" (Mat. 28. 17). Wszak sceptycznemu Tomaszowi, który się stanowczo zastrzegał: „Jeśli nie włożę palca mego w miejsce gwoździ i nie włożę ręki mojej w bok Jego, nie uwierzę" (Jan 20. 25), ukazał się Pan Jezus specjalnie i usłyszał zachętę, która odnosiła się również do sceptyków i niedowiarków przyszłych pokoleń: „Włóż tu palec twój i oglądaj ręce moje a nie bądź niewiernym, lecz wierzącym" (Jan. 20.27). Skutek był ten, że Tomasz odrzekł z uwielbieniem: „Pan mój, Bóg mój" — usłyszał jednak niemiłą zapewne, krytyczną uwagę: „Uwierzyłeś dlatego, żeś mię ujrzał, Tomaszu, błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli" (Jan 20.29). „Idąc na cały świat głoście ewangelię wszystkiemu stworzeniu. Kto uwierzy i ochrzci się zbawion będzie, a kto nie uwierzy, będzie potępion" (Mar. 16.15).

*

To też Zmartwychwstanie Pańskie jest dla nas dogmatem i podstawowym artykułem Wiary naszej. Jest rękojmią naszej nieśmiertelności, „bo jak przez człowieka śmierć, tak też przez człowieka i zmartwychwstanie. I jako w Adamie wszyscy umierają, tak też w Chrystusie wszyscy ożywieni będą" (I. Kor. 15.21-22).

W świetle glorii wielkanocnej rozumiemy, że sens, istota i cel życia ludzkiego jest w sferze ducha, że na świecie wszystko jest z ducha i dla ducha, że odrodzenie, zarówno jednostki jak narodów dokonywa się jedynie wtedy, gdy „obumiera ciało". Gdy jesteśmy „umarłymi dla grzechu, a żywymi w Chrystusie" (Rzym. 6.9.), gdyśmy „ciało swe ukrzyżowali wraz z namiętnościami i pożądliwościami" (Gal. 5.24), wtedy dopiero ziszcza się i upewnia pozdrowienie Chrystusa Zmartwychwstałego: „Pokój wam"!

Droga do zmartwychwstania duchowego jednostek i społeczeństw wiedzie poprzez Kalwarię zaparcia się, umartwienia, sumiennej pracy zawodowej i wytrwałej pracy wewnętrznej w nabywaniu cnót chrześcijańskich. „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, jeśli ziarno pszeniczne wrzucone w ziemię nie obumrze, samo zostanie, lecz jeśli obumrze, wiele owocu przynosi" (Jan. 12. 24.) — oto znamienne słowa Chrystusa Pana. Nawiązując do nich chciałoby się krzyczeć na cały dzisiejszy zmaterializowany, zrobaczywiały i skłócony świat: „Dajcie nam ludzi, ludzi świętych, co by chcieli obumierać jak ziarno pszeniczne, swoim namiętnościom i pysze żywota, co by wyrzekali się własnej chwały, własnej korzyści dla bliźnich, na wzor św. Jana Chrzciciela, co to umniejszał się, by Chrystus wzrastał, by Jego Królestwo się rozszerzało — a wtedy zapanuje w świecie wielkanocne Alleluja, triumf dobra, prawdy, pokoju i sprawiedliwości, wzajemna ufność i dobrobyt". Idzie przez świat wołanie o ludzi ofiarnych, o ludzi świętych, świętych wyznawców, apostołów, ale i świętych męczenników. Jesteśmy świadomi, że tylko tacy ludzie mogą na umierający świat dzisiejszy sprowadzić zmartwychwstanie, że wobec bankructwa czysto ludzkich idei i filozofii krzyż Chrystusowy jest jedyną nadzieją przemienienia i wybawienia. Ave Crux, spes unica.

*

Z lękiem i obawą myślimy o przyszłości. Co nas czeka? Co jeszcze przeżywać będziemy? Zamiast dociekać, dokąd idziemy, cofnijmy się wstecz do czasów pierwszych chrześcijan i zastanówmy się nad ich żywą wiarą w nieśmiertelność. Przypomnijmy sobie powieść Sienkiewicza, poświęconą właśnie trudom i triumfom pierwszych chrześcijan: „Quo Vadis?" Ogrody Nerona rozłuniły się od żywych pochodni, którym ciała chrześcijan dostarczają coraz to nowego paliwa. Na twarzach wyznawców Chrystusa maluje się jednak dziwna pogoda i niebiański spokój. Przeżywają dziwną rozkosz duchową. Tego już za dużo okrutnym siepaczom, ktorzy spodziewają się raczej skamlenia o litość. Nawet mędrzec grecki Chilon, zdrajca chrześcijan, zadrżał na widok swych ofiar. Krzyknęli więc Rzymianie ku niemu:

— „Hej stary, ty ich znasz dobrze: powiedz nam, co oni widzą?"

A Grek wypluł wino na tunikę i odrzekł:

„ZMARTWYCHWSTANIE"...!

*

W dawnej Polsce, w czasie długich lat niewoli, radosna pamiątka Zmartwychwstania Pańskiego miała charakter szczególny, nie mieszczący się w pojęciach ściśle dogmatycznych. Wielkanoc miała dla Polaków znaczenie szczególnie symboliczne. Rezurekcja poruszała w nich najgłębsze struny przeczuć, tęsknot i oczekiwania. Żywili wiarę, że Chrystus Zmartwychwstały a więc Wszechmocny, jak przezwyciężył śmierć i grzech, tak też odrzuci kamień z grobu niewoli i w swoim czasie rozwinie Swój sztandar zwycięski — a wierny lud zaśpiewa: „Christus vincit, Christus regnat, Christus imperat". Jak pacierz powtarzali s ł o w a wieszcza: „Dnia trzeciego się rozwidni i na wieki będzie rano". Widzieli przed sobą z absolutną pewnością: ZMARTWYCHWSTANIE.

Dziś, gdy Polska katolicka, jak to stwierdzają Biskupi polscy, przeżywa ucisk i prześladowanie, gdy wytoczono totalną ofensywę na organizację kościelną, gdy bezbożny komunizm ze swym cynizmem, terrorem i bezwzględnością dyktuje narodowi nowe prawa, nowy ustrój, nowe porządki, będące zaprzeczeniem ducha chrześcijańskiego, wolności osobistej i godności człowieka, cały świat patrzy z podziwem na postawę Kościoła, na hart wiernych i niezłomność biskupów. I siepacze pytają zapewne nowoczesnych Chilonów zdrajców (znacie ich przecie): „Co ci Polacy widzą, że nie chcą się ugiąć, że nie chcą się zaprzeć 1000-letniej Polski chrześcijańskiej, jej wiekowej kultury i ducha katolickiego?" Jedna jest tylko odpowiedź: Widzą: ZMARTWYCHWSTANIE.

*

I choć horyzont świata zaciemniają coraz to ciemniejsze chmury niepewności i gróźb najstraszniejszych, choć po ludzku sądząc, świat idzie ku zagładzie, to mimo wszystko, my ludzie wierzący „nie smucimy się jako ci inni, którzy nie mają nadziei" (I. Tes. 4.13). Nikt i nic nie mąci nam jasności poranka wielkanocnego. Przeciwnie pamiątka Zmartwychwstania Pańskiego jest nam pokrzepieniem w wierze. „Wiara nasza nie jest w mądrości ludzkiej, ale w mocy Bożej" (I. Kor. 2.5). Wierzymy, że jak po wielkopiątkowej pasji następuje otwarcie grobu wielkanocnego i rezurekcja, tak też z gehenny narodów powstanie Wielkanoc, rezurekcja świata.

Racją Boga nieomylnego jest: „Byłem umarły, a oto jestem żyjący na wieki wieków i mam klucze śmierci i piekła. Nie lękaj się! Jam jest Pierwszy i Ostatni i Żywy" (Obj. 1. 17. 18).

Piekielne moce zwojuje.
Nieprzyjacioły podepcze.
Nad nędznymi się zlituje.
Alleluja!

EWANGELIA NA WIELKANOC
(Mk. 16,1 — 7)

A gdy minął szabat, Maria Magdalena i Maria Jakubowa i Salome nakupiły wonności, aby pójść i namaścić Jezusa. I bardzo rano w pierwszy dzień tygodnia przyszły do grobu, gdy już wzeszło słońce. A mówiły do siebie: Ktoż nam odsunie kamień od drzwi grobowca? I spojrzawszy, ujrzały odsunięty kamień. Był bowiem bardzo wielki. A wszedłszy do grobowca, ujrzały młodzieńca siedzącego po prawej stronie, ubranego w szatę białą i zdumiały się. Ale on rzekł im: Nie lękajcie się, szukacie Jezusa Nazareńskiego, ukrzyżowanego: powstał, nie masz go tu, oto miejsce, gdzie go złożono. Ale idźcie, powiedzcie uczniom jego i Piotrowi, że was uprzedza do Galilei: tam go ujrzycie, jako wam powiedział.

EWANGELIA NA PONIEDZIAŁEK WIELKANOCNY
(Łk. 24, 13 — 35)

A oto dwaj z nich tegoż dnia szli do miasteczka, zwanego Emaus, które oddalone było o sześćdziesiąt stadiow od Jeruzalem. I rozmawiali z sobą o wszystkim, co się wydarzyło. I stało się, podczas gdy rozmawiali i wzajemnie się pytali, że sam Jezus przybliżywszy się, szedł z nimi. A oczy ich były przesłonięte, aby go nie poznali. I rzekł do nich: Cóż to są za rozmowy, które idąc prowadzicie między sobą i jesteście smutni. A odpowiadając jeden z nich imieniem Kleofas, rzekł do niego: Czyżeś ty sam przechodniem w Jerozolimie, że nie wiesz, co się w niej w tych dniach stało? A on im rzekł: Co? I powiedzieli mu o Jezusie Nazareńskim, który był prorokiem, potężnym w czynie i w mowie wobec Boga i całego ludu. I jak go przedniejsi kapłani i przełożeni nasi wydali na śmierć i ukrzyżowali. A my myśmy się spodziewali, że on miał odkupić Izraela. I teraz po tym wszystkim jest już dzisiaj trzeci dzień od czasu, jak się to stało. Ale i niektóre z naszych niewiast przeraziły nas, były bowiem przed świtaniem u grobu i nie znalazłszy jego ciała, przyszły mówiąc, że nawet miały widzenie aniołów, którzy powiadają, że on żyje. I poszli byli niektórzy z naszych do grobu i tak znaleźli, jako im powiadały niewiasty, ale jego samego nie znaleźli.

A on rzekł do nich: O głupi i serca leniwego ku wierzeniu temu wszystkiemu, co mówili prorocy. Czyż nie potrzeba było, aby Chrystus cierpiał i tak wszedł do chwały swojej? I począwszy od Mojżesza i wszystkich proroków, wykładał im, co było o nim we wszystkich pismach. I przybliżyli się do miasteczka, do którego szli, a on okazywał jakoby dalej iść miał. I przymusili go, mówiąc: Zostań z nami, bo ma się ku wieczorowi i dzień się już nachylił. I wszedł z nimi. I stało się, gdy zasiadł z nimi przy stole, że wziął chleb, błogosławił, łamał i dawał im. I otworzyły się oczy ich i poznali go, ale on zniknął sprzed oczu ich. I mówili między sobą: Czyż serce nasze nie pałało w nas, gdy mówił w drodze i pisma nam wyjaśniał? I powstawszy tejże godziny, wrócili do Jeruzalem. I znaleźli zgromadzonych jedenastu i tych, którzy z nim byli, mówiącyh: Iż wstał Pan prawdziwie i ukazał się Szymonowi. A oni opowiadali, co się stało w drodze i jak go poznali przy łamaniu chleba.

Droga Krzyżowa w Kościele Polskim

W intencji wynagrodzenia Ukrzyżowanemu za krzywdy i zniewagi, wyrządzane Zbawicielowi Świata odbędzie się w Wielki Piątek o godzinie 8 wieczorem w Kościele Polskim w Londynie (2 Devonia Rd. N. I.) nabożeństwo Drogi Krzyżowej. Kazanie wygłosi ks. prałat Wł. Staniszewski.

Rezurekcja

w Kościele Polskim w Londynie odbędzie się w Wielką Sobotę o godz. 6 wieczorem. Po Rezurekcji święcenie potraw.

Dojazd do kościoła kolejką podziemną Northern Line do stacji ANGEL.

Wielkanocne obrzędy

W Polsce podobnie jak i w innych krajach słowiańskich obchód pamiątki Zmartwychwstania Pańskiego rozpoczyna się nabożeństwem zw. Rezurekcją. Nabożeństwo to powstało prawdopodobnie około XI wieku z dawnych misteriów wielkanocnych. Na ogół streszcza się ono w trzykrotnym podniesieniu krucyfiksu, przy radosnym obwieszczeniu wiernym „Zmartwychwstał Pan z grobu" oraz w procesjonalnym przeniesieniu Najśw. Sakramentu do Tabernakulum. W Polsce Rezurekcja łączy się z jutrznią pacierzy kapłańskich. Obrzędy te zostały opracowane w tzw. rytuale piotrowskim z 1631 r. a następnie przejęte przez nowy rytuał polski, obowiązujący od 1929 r., zatwierdzony przez Stolicę Apostolską. Rezurekcję odprawia się w Wielką Sobotę wieczorem, albo w Wielką Niedzielę rano.

Sam dzień Zmartwychwstania Pańskiego prócz specjalnej Mszy św. innych obrzędów liturgicznych nie posiada. „Powstałem i dotychczas jestem z wami" — głosi Introit. W myśl tego Lekcja z listu św. Pawła do Koryntian poucza: „Oczyśćcie się ze starego kwasu, abyście byli zaczynem nowym", a Graduał wzywa do radości i wesela: „Wysławiajcie Pana, bowiem jest dobry, bo na wieki miłosierdzie Jego". W Sekwencji Kościół podaje pierwsze świadectwo Zmartwychwstania, złożone przez Marię, idącą nawiedzić Grób Chrystusa i uzupełnia je Ewangelią według św. Marka o niewiastach, które pierwsze u Grobu dowiedziały się o Zmartwychwstaniu. Odtąd przez cały tydzień podobne świadectwa przytaczać będzie Kościół co dzień w Ewangelii. Modlitwy po Komunii św. błagają o szczerość, prawdę, jedność i zgodę.

Z obchodami wielkanocnymi luźno iest związany zwyczaj święcenia jadła w Wielką Sobotę przed Rezurekcją, przede wszystkim jaj, chleba, soli, masła, mięsa i ciast.

KALENDARZYK

Kwiecień 1950

9 n. — Zmartw. Chr. Pana
10 p. — Poniedz. Wielkanocny Ezechiela
11 w. — Leona
12 ś. — Juliusza, Zenona
13 c. — Hermenegildy
14 p. — † Justyna, Waleriana
15 s. — Anastazji, Bazylego

KRONIKA SZKOCKA

W TROSCE O MŁODE POKOLENIE

W okresie Świąt Zmartwychwstania Pańskiego rozpocznie się na terenie Edynburga i okolicy akcja zbiórkowa na cele dokształcania młodzieży polskiej na specjalnych kursach w przedmiotach ojczystych, organizowana staraniem miejscowego Polskiego Komitetu Oświatowego.

Organizacja ta zwraca się za naszym pośrednictwem z gorącym apelem do całej społeczności polskiej Edynburga o poparcie w jak najszerszym zakresie tej tak ważnej akcji.

Niechajże w myśl hasła, które przyświeca pracom Komitetu: „POLSKIE DZIECKO DLA POLSKI" — każdy uchodźca złoży choć najskromniejszy datek, by cała tutejsza młodzież nasza znaleźć się mogła na kursach.

Ze swej strony miło jest nam stwierdzić, że dotychczasowa praca Komitetu Oświatowego dała bardzo dobre rezultaty, chroniąc przede wszystkim polskie dzieci, uczęszczające do szkół brytyjskich przed wynarodowieniem.

Działalność tej bardzo ważnej placówki poświęcimy niebawem specjalne miejsce.

* * *

Na Dorocznym Walnym Zebraniu Członków Polskiej Parafii Katolickiej w Edynburgu, odbytym dnia 26 marca br., przyjęto przez aklamację rezolucję w sprawie szerokiego poparcia wspomnianej wyżej akcji zbiórkowej Komitetu Oświatowego.

O ROZPOWSZECHNIANIE POLSKIEJ PRASY KATOLICKIEJ

Walne Zgromadzenie Członków Polskiej Parafii Katolickiej w Edynburgu, odbyte w niedzielę dnia 26 marca br. w Domu Kombatanta, przyjęło przez aklamację wniosek treści następującej:

„Walne Zebranie — w pełnym zrozumieniu znaczenia wydawnictw katolickich w życiu naszego wychodźstwa — wzywa miejscowy Polski Komitet Kościelny do wzmożenia starań nad rozpowszechnieniem wśród naszych Rodaków w Edynburgu i okolicy polskiej prasy katolickiej, wychodzącej w Londynie."

* * *

O pracy Komitetu Kościelnego, który ma za sobą bardzo poważny dorobek, jak również o wspomnianym Walnym Zebraniu Parafian, napiszemy niebawem obszerniej.

BIBLIOTEKA DZIEŁ KOŚCIELNYCH W EDYNBURGU

W Edynburgu powstała nie tak dawno staraniem tutejszych organizacji i instytucji katolickich biblioteka dzieł kościelnych, składająca się ze stu kilkudziesięciu tomów o treści religijnej, dzieł filozoficznych, społecznych, historycznych, jak również powieści zgodnych z etyką chrześcijańską.

Biblioteka uruchomiona została przy Bibliotece SPK i mieści się w Domu Kombatanta. Czynna jest w poniedziałki, środy i soboty od godz. 19.20.

Wszelkie ofiarowane książki, zgodne z ideologią i duchem katolickim, przyjęte będą z wdzięcznością.

NOWY ODCZYT „VERITASU"

Kolejny odczyt z cyklu „Zagadnienie człowieka", organizowany przez Pol. Stow. Uniw. „Veritas" w Edynburgu odbędzie się dnia 13 kwietnia br. o godz. 19,30 w Domu Kombatanta.

Prelekcję na temat zmysłów i uczuć oraz ich znaczenia w życiu człowieka wygłosi p. mgr St. Maj.

DOROCZNE ZEBRANIA KOMBATANCKIE

Doroczne Walne Zgromadzenie Edynburskiego Koła SPK Nr. 25 odbędzie się w niedzielę dnia 16 kwietnia br. w Domu Kombatanta w pierwszym terminie o godz. 15, w drugim zaś o odz. 15.30.

Na porządku dziennym sprawozdanie ustępującego Zarządu, wybory nowych władz oraz wytyczne działalności Koła na przyszłą kadencję.

Zarząd Koła zwraca się do wszystkich członków z apelem o jaknajliczniejszy udział w Zebraniu.

* * *

Walny Zjazd Delegatów Kół SPK Okręgu „Szkocja" odbędzie się w dniach 22-23 kwietnia br. w Domu Kombatanta w Edynburgu. Początek obrad dn. 22 kwietnia br. o godz. 11.

Parada Wielkanocna

Kiedy pierwsze kukułki dają starym Anglikom temat do pisania listów do Times'a; kiedy ostatnie drużyny futbalowe golami brukują sobie drogę do Wembley; kiedy po raz ostatni kopyta końskie druzgocą przeszkody na torach wyścigowych — wtedy otwierają się tysiące szaf, śmieciarze wynoszą kubły pełne trucizny na mole i ogródki podmiejskie zaczynają się mienić wietrzonymi sukniami i ubraniami; wtedy w sztucznym świetle dziennym błyszczą się nożyce, igły szybko przeszywają materiały, słoma i płócienne kwiatki przybierają w nerwowych palcach nowe kształty. Zbliża się ta druga wiosna, równie cudowna, bo tworzy ją człowiek.

I jak pączki i liście, kwiaty i owady wybuchają harmonią dopiero kiedy jasne promienie słońca potrafią w pełni oświecić ich piękno — tak dla ludzi nastaje chwila, kiedy w świetle obudzonej natury tłumiona zimą nadzieja i radość życia rozlewa się po ulicach po trawnikach, miesza się z rozkwitniętymi gałązkami, wspina się po promieniach słońca ku górze i z góry rozsypuje się szeroko po świecie.

Nadejdzie Niedziela Wielkanocna. Ranne słońce lekko oświeci czubki drzew, promienie lekkoześlizgną się po gałązkach, zmieniając liściom kolory, i spadną rozlewając się po trawie, po całym Hyde Parku. Wzdłuż ulic przejedzie pierwszy samochód, rozlegnie się pierwszy stuk nóg męskich, kobiecych, dziecięcych. Wielu nóg, nóg po chodnikach, nóg po trawie, nóg po jezdni, zakrywając tylko posuwającym się autom koła, bo już reszta jest zakryta kurtyną nakrapianych sukien i jasnych męskich ubrań, ozdobionych świeżymi kwiatami i barwnymi krawatami. I rozweselone twarze koronuje cudackie morze kapeluszów uskrzydlonych, ukwieconych, powiewających woalkami, bulgocących wielkanocnymi jajkami, pnących się ku górze i opadających ku twarzom. Wśród męskich kapeluszów także nie brak kolorów jaskrawych, purpurowych, bladoniebieskich, czy wielokolorowych. I jakby wziąwszy tą pstrokatą powłokę za łąkę, w środku usiadł duży rajski ptak, huśtając się i kręcąc zawzięcie po słomie, kurczowo trzymając się dziobem woalki. Ptaka otacza płot męskich rąk powiewających piórami i albumami na autografy. Trzasnął aparat znudzonego reportera i ruszył ku fioletowej czapce, ozdobionej wysokim piórem i otoczonej pstrokatymi kapeluszami kobiet, kołującymi w uwielbieniu.

Powoli ludzie rozpraszają się ku domom i gospodom, by zakończyć święto ludzkiej radości obiadem wielkanocnym. Rozbawione grupy pań i panów będą ponawiać nadzieję, młode pary, wkulone w stoły będą sprzątać sobie nadzieję, a przez otwarte okna dzwony będą wydzwaniać radość i nadzieję. Przez czyste wiosenne powietrze, ponad dachami i drzewami, z kościołów w serca będą nieść nadzieję i szczęście w to święto Boga-Człowieka, który je stworzył.

J. R. Lambor

NUMER ZDOBIŁ STANISŁAW GLIWA

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: 12, PRAED MEWS, LONDON W. 2. Tele fon AMB 6879. Wydawca: VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE. Prenumerata (z przesyłką) płatna z góry: miesięcznie 1/6, kwartalnie 4/—, półrocznie 8/—, rocznie 15/—. Niezamówionych rękopisów Redakcja nie zwraca. OGŁOSZENIA: 1 cal przez 1 łam £. 1. W tekście 50 % drożej, na pierwszej stronie 100 % drożej. Za każde następne ogłoszenie tej samej treści — opust, zależny od ilości ogłoszeń. Nekrologi — 10 sh. za cal. Ogłoszenia drobne — 1 sh. od wiersza. Za treść ogłoszeń Redakcja nie odpowiada.

Printed by. Veritas Foundation Press, 12. ..aed Mews. London. W. 2. — Tel. PAD 9734

ZOFIA KOSSAK

Widziałam Pana...

Na świecie świt. W izbie mrok. Okna zamknięte drewnianymi okiennicami. Drzwi zawarte. W cieniu niewidoczni, utrapieni ludzie.

Stukanie do drzwi. Głos z zewnątrz:

— Mężowie galilejscy! Otwórzcie!

— Biada! To straż idzie po nas!

— Wyśledzono, gdzie jesteśmy...

— Mężowie galilejscy! To ja, Kleon, syn Semeja!

— Bądź pozdrowiony Kleonie. Wpuśćcie go i zamykajcie prędko drzwi!

— Dlaczego siedzicie w mroku, jak puszczyki? Dlaczego zawarliście drzwi i okna? Czy umarły leży w tej izbie?

— Nie... W tej izbie nie leży umarły...

— Przyszedłem z poselstwem do Mistrza...

— Nie masz Go...

— Gdzie jest? Mam do niego posłanie: Grody galilejskie chcą, by się przestał ukrywać i przyszedł do nich. Obwołają Go królem. Wierzymy wszyscy, że jest Mesjaszem, Synem Bożym. On przywróci chwałę Izraela, jak przepowiadali prorocy...

— Próżne twoje poselstwo, Kleonie, synu Semeja. Nie masz już Mistrza— Mistrz — umarł

— Na święte księgi! Jakoż mógł umrzeć, Mesjaszem będąc!? Zali uleciał do nieba, jak Eliasz na ognistym wozie?

— Nie uleciał jak Eliasz... Złożony jest w grobie.

— To nieprawda, co mówicie! Jezus z Nazaretu nie mógł umrzeć, wszakże rozkazywał śmierci i przywoływał spowrotem zmarłych z otchłani...

— Innych wskrzeszał, siebie nie umiał przed śmiercią obronić. Zginął i w grób położony...

— Co Go powaliło? Grom?

— Ciężko jest wyznać Kleonie. Pojmany został przez straż kapłańską, osądzony przez arcykapłana. Rzymianin wyrok zatwierdził i ukrzyżowano Go za miastem, na wzgórzu Golgota...

— Ukrzyżowany! Ukrzyżowany!...

— Pomiędzy dwoma łotrami...

— Nie może pojąć tego dusza moja...

— Zdejmowaliśmy Go z krzyża, Kleonie. Widzieliśmy Go, męża boleści, a nie było na co spojrzeć na nim... Siny i zbroczony krwią...

— Proroctwo jakieś wspominasz?

— Nie wspominam proroctwa. Ty bok, z którego wszystka krew uciekła, przebite ręce i nogi, poraniona cierniem głowa... Zaprawdę, w żałosny szczątek, zewłok nikczemny zmieniło się to, cośmy uwielbiali...

— Po sądzie żołnierze rzymscy bili Go po twarzy, pluli nań a On nic... Jak baranek na zabicie wiedziony, nie otworzył ust swoich...

— Znowu proroctwo przytaczasz?

— Nie przytaczam proroctwa, jeno powtarzam, com widział. Nie stoję o proroctwa, gdyż przestałem wierzyć w Mesjasza. Choćby mi powiedziano: Oto tam jest, oto owdzie, nawet nie spojrzę w tę stronę. ...Bo nie mogły dziać się cuda większe, niż te, które czynił Jezus Nazareński, na co swoimi oczami patrzyliśmy, a przecie zmogli Go ludzie i śmierć. Haniebna śmierć...

— Którzy szli drogą, wołali na Niego urągliwie: Jeśliś Syn Boży, zejdź z krzyża!...Słuchaliśmy, czekając, iż może wzbudzi w sobie dawną moc i zejdzie, żeby zaświadczyć, kim jest... Ale On tego nie był mocen uczynić i skonał...

— Straszne powiadacie rzeczy...

— Nie dziwno ci już, Kleonie, że zawarliśmy okna, drzwi i siedzimy bolejąc?

— Pamiętają niektórzy, iż On zapowiadał, że tak Mu uczynią, a potem zmartwychwstanie, lecz któż by tego wbrew rozumowi oczekiwał? Trzeci dzień dzisiaj, jak umarł...

— Wydzierał śmierci trupy ledwo zgasłe, z członkami nieuszkodzonymi. My, cośmy Jego ciało składali do grobu, wiemy, że ożyć nie może...

— Biada nam, biada, mężowie galilejscy! Skoro Jezus z Nazaretu nie był Mesjaszem, choć wskazywały na Niego proroctwa, cóż nam pozostało? Oszukani zostaliśmy i w pole wywiedzeni...

— Jako stado bez Pasterza...

— Pusty i ciemny jest świat, z którego wygnana nadzieja. Zaprawdę, lepiej być robakiem pełzającym w prochu, niż człowiekiem!

— Po stokroć lepiej... Ktoś śpiesznie idzie drogą... Wyjrzyjcie przez szparę w oknie...

— Niewiasta. Maria z Magdali, ta, z której Pan niegdyś wygnał siedem demonów. Biegnie tutaj, rękami macha jak szalona...

— Otwórzcie! Otwórzcie! Pan żyje!

— Puśćcie ją, bo krzyki sprowadzą straże...

— Pan zmartwychwstał! Pan jest!

— Powiadałem, że szalona...

— Niewiasto, powiedz spokojnie, co chcesz od nas?

— Widziałam Pana! Widziałam Pana!

— Rozum ci się pomieszał. My też bliscy jesteśmy szaleństwa od żalu, więc milcz!

— Widziałam Pana! Widziałam Pana!

— Ducha widziałaś. Nie ożyje ciało przebite, pokłute...

— Widziałam Pana! Widziałam Pana!

— Na złote bramy świątyni! Może ona prawdę gada!?

— Niewiasta bredzi jak dziecko. Mężom rozumnym bredzić nie przystoi.

— Choćbym Go ujrzał przed sobą, dopóki nie zobaczę przebicia gwoździem w dłoni Jego i nie włożę palca w bok Jego — nie uwierzę!

— Zali nie ukazałby się najpierw godniejszym, niż niewieście, na którą niedawno wołano: jawnogrzesznica!?

— Żołnierze pilnują grobu... Jakże by Go wypuścili?

— Radujcie się, bo widziałam Pana!

Zofia Kossak



JÓZEF FRANKIEWICZ

WSPOMINKI RZESZOWSKIE

Mój rodzinny Rzeszów, to takie sobie miasto prowincjonalne, tyle że na głównej linii Lwów—Kraków i z zacięciem handlowym. Że zaś do handlu od wieków u nas lgnęli raczej starozakonni, niż sentymentalni Polacy, więc i mojemu miastu przyczepiono złośliwą łatkę, że jest więcej Mojżeszów, niż Rzeszów.

Jakby na potwierdzenie tych złośliwostek dwa pomniki, które od dziecka pamiętam, postawiono w czysto żydowskich dzielnicach. W 1892 roku („sześć latek mi było, do szkołym już chodził") odbyło się poświęcenie pomnika Mickiewicza, na skwerku, u wejścia do małego parku, w sąsiedztwie szpitala, bożnicy i cmentarza. W szereg lat później ufundowano pomnik Kościuszki na środku rynku. Tam jedynym budynkiem chrześcijańskim był — ratusz.

Rzeszowianin Lis-Kula, najmłodszy podpułkownik w wolnej już Polsce, doczekał się pomnika na pięknym placu, w sąsiedztwie kościoła farnego, plebańskiego ogrodu i klasztoru OO. bernardynów. Lis-Kula zginął młodo. U schyłku pierwszej wojny światowej poczęstowała go niezgorzej kula włoska, gdy legionistów, pozbawionych szarż, wysłali Austriacy na front południowy. Wylizał się z tej rany w szpitalu w Udine, wrócił do pracy wojskowej, aż go w 1919 r., śmierć dopadła zdradziecko pod Torczynem. Młody Kula mordował się z nią przez trzy dni w szpitalu wołyńskim, tym razem jednak już się śmierci nie wymknął.

Nie wiem, czy Wódz Naczelny często posyłał wieńce pogrzebowe swoim zasłużonym oficerom, raczej nie. Na trumnę młodziutkiego pułkownika szarfy wieńca przyniosły jakże tkliwe pożegnanie: „Memu kochanemu chłopcu — Józef Piłsudski".

Rzeszów niehandlowy obejmował południowo-zachodnią część miasta, najpiękniejszą, pełną ogrodów i sadów. Tam też stał śliczny klasztor bernardynów, z cudowną Matką Boską, która się objawiła na gruszce. Bogate wota, od których lśnił się cały ołtarz i wszystkie ściany osobnej Jej kaplicy, świadczą doczesnymi znakami wdzięczności, o doznanych łaskach.

Jest jeszcze w Rzeszowie wielki kościół parafialny oraz dwa klasztory, które uległy konfiskacie za cesarza Józefa II. Z tych jeden po wygnanych OO. reformatach (stąd przedmieście Wygnaniec) przerobili Austriacy na magazyny wojskowe i dopiero wolna Polska przyprowadziła klasztor do dawnego stanu i przeznaczyła dla wojska jako kościół garnizonowy. Drugi, po OO. pijarach, to nasz studencki kościół gimnazjalny, którego włodarzem był przez długie lata ukochany ks. kanonik Karakulski.

Na straży dawnej, zbrojnej przeszłości rozsiadło się nad Wisłokiem, na południowej stronie miasta, ogromne, warowne zamczysko książąt Lubomirskich, z murami, basztami, fosami, zwodzonym mostem. (Jako chłopcy wspinaliśmy się na częściowo w gruz się już sypiące baszty i wewnętrzne podwórze, gdzie wśród rumowisk i gęstych haszczy, najlepiej szła zabawa). Na środkowy masyw zamku nie lubieliśmy patrzyć bowiem pod czarnym dwugłowym orłem mieścił się tam sąd i więzienie. Ten zamek dawno nabył rząd zaborczy i przeznaczył na ten praktyczny cel.

Najbliższe otoczenie miasta szare i brzydkie. Całym rozweseleniem krajobrazu były ciągnące się kilometrami, wzdłuż rzeki szerokie pasma łozin, spiątanych gąszczem ostrężyn, poprzecinane bagnistymi strumieniami i kąpami podmokłych olch. „Dalej na południowy zachód okolica pagórzysta, z porozrzucanymi tam wioskami i siołami. Na tych pagórkach, w sąsiedztwie dawno już rozparcelowanych dworów tu i ówdzie sterczą resztki przybutwiałych krzyżów. To smutne pozostałości po przedwiośniu ludów, po 1846 roku.

„Dajcie bracie kubeł wody!...

Ręce myć, gębę myć, chusty prać,

Nie będzie znać..."

I dobrze, że już mało co znać. Polne maki na ugorach jednaką wszędzie kwitną czerwienią, pod kikutami tych krzyżów, może odrobinę tylko są czerwieńsze.

W odległości 7—10 km od miasta, zaczynają się duże lasy — cel pielgrzymek dla poszukiwaczy „rzadkich" roślin. Całe sztubactwo z niższych klas waliło w sobotę do tych lasów w poszukiwaniu zdobyczy dla ogromnych bibulastych zielników. Późniejszy, niezłomny obrońca czystości przyrody tatrzańskiej, wróg wszelkich kolejek linowych i turystycznych jaskrawych znakowań, Władeczek Szafer, już wtedy, miał w tych lasach podrzeszowskich swoje zakonspirowane i zazdrośnie strzeżone rezerwaty roślinne. Z toporkami i szpadlami włóczyli się po górzystych, południowych częściach powiatu: skośnooki Albin Fleszar, (mjr. „Satyr", poległ w Legionach) oraz czupurny studencik Furgalski (mjr. „Wyrwa" poległ w Legionach). To byli nasi „kamieniarze", specjaliści od minerałów. Fleszar był do pierwszej wojny światowej asystentem przy katedrze geologii we Lwowie.

W naszej starej, popijarskiej szkole, tak jak zresztą we wszystkich gimnazjach w tych czasach, rozrastały się bujnie pozaszkolne „kółka samokształcące" młodzieży, do których wciągano chłopców od 5 klasy począwszy. (Było to niby surowo zakazane, ale profesorowie wiedzieli co jest na rzeczy, udając, że niczego nie widzą).

Niezależnie od tego, częściowo zaś w ramach tych „kółek", działało nasze „koło miłośników sceny" jako osobna sekcja. Trudno przy tym wszystkim nie dodać, że co dziesiąty (lekko licząc) student starszych klas pisał wiersze. Jak że było nie pisać? Łopotały przecież nad nami szumne skrzydła krakowskiej „Młodej Polski". Potrząsał swym kaduceuszem Wyspiański, wyrzucał jak chleb z gorącego pieca, tomik za tomikiem, swoje poezje Przerwa-Tetmajer, chodził „W mroku gwiazd" Tadeusz Miciński, Rydel kręcił swoje „Zaczarowane koło". Za witrynami naszej księgarni Pelara, ukazywały się wciąż nowe tomiki poetów, to Orkan, to Lange, Leszczyński, Butrymowicz, Szukiewicz, dziesiątki innych...

Jakże nie pisać, gdy nasz młody prof. Adam Bełcikowski, wydał właśnie „Psychiana", gdy próbki swego talentu posyłał po cichu do druku siódmo-klasista Witold Bunikiewicz, a opiekuńcze, skrzydła roztaczał nad nami nasz polonista, dziwak, oryginał, prof. Ostoja-Sędzimir. W jego starokawalerskim mieszkaniu wypalaliśmy mu niezliczoną ilość papierosów, kręconych ze wspaniałego tytoniu „Kir", on zaś cierpliwie przeglądał nasze poetyckie wypociny, to chwaląc, to ganiąc, a znał się na tych sprawach znakomicie.

Politycznie dzieliliśmy się w naszych „kółkach samokształcących" na narodowców i socjalistów. Myśmy mieli swoją „Ojczyznę" i „Tekę", oni swój „Promień" i „Naprzód", a jedni i drudzy całą odpowiednią literaturę jako podbudówkę, które to zresztą książki i broszury wzajemnieśmy między sobą wymieniali.

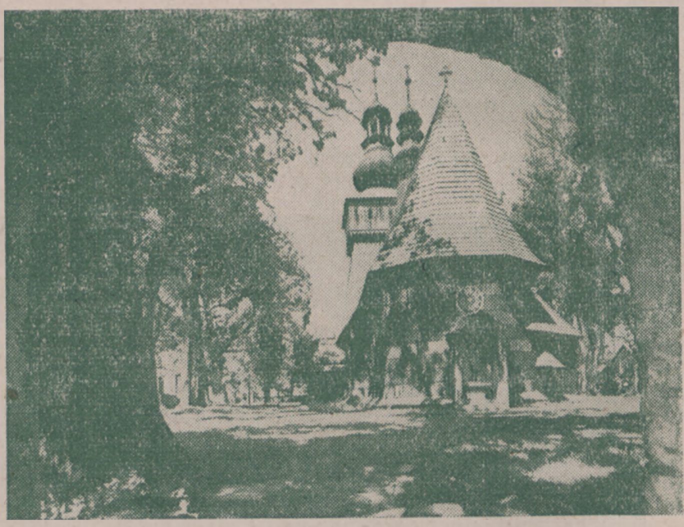
Kierownikiem mojego kółka był Romciu Rybarski. Nie było z nim żartów. Tyranizował nas i prychał zjadliwie przy czytaniu, pobieżnie przez nas opracowanych referatów i korreferatów, gromił za byle co, przy czym w zacietrzewieniu jeszcze zabawniej wypadało to jego swoiste, z francuska wymawiane „r". Od wczesnej wiosny, w każdą niedzielę po nabożeństwie, wodził nas Romciu, jak kokosz swoje kurczęta, po nadrzecznych krzakach, wyszukując na te zebrania jak najgłębsze zakamarki w łozinowych haszczach, gdzie by nas nikt nie mógł nałazić i przeszkadzać. Nie wiem, czy późniejszy wiceminister skarbu i profesor uniwersytetu warszawskiego w takich samych ryzach trzymał swoich urzędników i studentów.

Była w Warszawie, do ostatnich dni przed wojną, gromadka ludzi, którzy od czasu do czasu dla wytchnienia zbierali się razem i jak zbarczone ptaki zapadali pod wieczór na odpoczynek w swój „kraj lat dziecinnych", w rzeszowskie strony. — Te zebrania odbywały się niezmiennie w jednym z zacisznych pokoików u Loursa. Tam to przy podwieczorkowej pogawędce prezydował senior rzeszowskich kółek samokształcących, zasłużony działacz T. S.L., dyrektor departamentu budżetu w ministerstwie oświaty — Jędruś Nowak. Z tegoż ministerstwa, z wydz. prawnego przychodził Tadeusz Wolfenburg, z komunikacji zjawiał się dyr. departamentu Uchniat, jeszcze dwóch, trzech młodszych, no i niezawodny, jeżeli o te posiedzenia chodziło, Romciu Rybarski. Śmialiśmy się jak dzieci z jego ciętych kawałów, zawsze coś nowego wychodziło z odległych szkolnych wspomnień, był duszą tych zebrań. Życie nie szczędziło Rybarskiemu przykrości, zawodów i rozczarowań w jego długiej pracy społecznej, naukowej i parlamentarnej. Niemcy go wreszcie zadręczyli w Oświęcimiu. Może gasnącym oczom profesora szła naprzeciw, w majakach, wiosna jego dzieciństwa, dobre, pracowite lata szkolne... I nadrzeczne, rzeszowskie wikliny rozchyliły przed nim chłodne, baziami kwitnące wnętrza, gdzie by wreszcie mógł znaleźć dla siebie zakątek najdalszy i najcichszy.

Gdzieś w 1942 r. w ślad za wojskiem, przywędrowała na iracką pustynię piękna, zbiorowa książka: „Kraj lat dziecinnych". Bardzośmy ją sobie chwalili i pijąc z gumowych wanienek ciepłą chlorowaną wodę, czytaliśmy ją od początku do końca i z powrotem. Aliści młody, ambitny i także wówczas pustynny poeta, odmówiwszy ślicznie swoją „Litanię Loretańską", sprawił tej książeczce prawdziwe „Nieszpory Sycylijskie", jako że „rozpamiętywanie przeszłości, to filozofia ludzi starych, bezsilnych i wykolejonych". Zwłaszcza to „wykolejenie" wyglądało niepokojąco. Jeżeli podobny los mógł spotkać takie grube ryby, to czego mogą spodziewać się nieśmiałe, przybrzeżne płotki, zwabione przynętą „Gazety Niedzielnej"?

I czy Redakcja ma przynajmniej, w razie czego, jakiś lekki zastrzyk eutanazyjny, żeby się długo nie męczyć? —

Józef Frankiewicz



NOWY TARG

STROMBOLI

Film wyprodukowany we Włoszech przez Ingrid Bergman i Roberta Rossellini pt. „Ziemia Boża" został nagrodzony przez rząd włoski jako najlepszy film włoski.

Sprawą tego filmu interesuje się od szeregu tygodni cały świat. Film bowiem ma dwie wersje: włoską, którą się uważa za arcydzieło filmu religijnego i amerykańską, która jest przykładem niemoralności. Senator Johnson w Stanach Zjednoczonych wystąpił z protestem w senacie amerykańskim przeciw temu filmowi i przeciw dwu aktorkom — Ingrid Bergman i Ricie Hayworth jako „apostołkom zgorszenia".

Senatorowi Johnsonowi odpowiedział Eryk Johnston, prezes Stowarzyszenia Producentów Filmowych. Twierdzi on, że sama publiczność ma wyłączne prawo do osądzania, co jest moralne a co nie i że wierzy on w demokrację przy kasie biletowej.

ADAM MICKIEWICZ

PAN TADEUSZ

EPILOG

O tym-że dumać na paryskim bruku,
Przynosząc z miasta uszy pełne stuku,
Przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów,
Zapóźnionych żalów, potępieńczych swarów!

Biada nam, zbiegi, żeśmy w czas morowy
Lękliwe nieśli za granicę głowy!
Bo gdzie stąpili, szła przed nimi trwoga,
W każdym sąsiedzie znajdowali wroga,
Aż nas objęto w ciasny krąg łańcucha
I każą oddać co najprędzej ducha.

A gdy na żale ten świat nie ma ucha,
Gdy ich co chwila nowina przeraża,
Bijąca z Polski jak dzwon ze smętarza,
Gdy im prędkiego zgonu życzą straże,
Wrogi ich wabią zdala jak grabarze!
Gdy w niebie nawet nadziei nie widzą!
Nie dziw, że ludzi, świat, siebie ohydzą,
Że utraciwszy rozum w mękach długich,
Plwają na siebie i żrą jedni drugich.

Chciałem pominąć, ptak małego lotu,
Pominąć strefy ulewy i grzmotu
I szukać tylko cienia i pogody,
Wieki dzieciństwa, domowe zagrody...
Jedyne szczęście kto w szarej godzinie
Z kilku przyjaciół przysiadł przy kominie,
Drzwi od Europy zamykał hałasów,
Wyrwał się myślą ku szczęśliwszym czasom
I dumał, myślił o swojej krainie.

Ale o krwi tej, co się świeżo lała,
O łzach, którymi płynie Polska cała,
O sławie, która jeszcze nie przebrzmiała!
O nich pomyślić nie mieliśmy duszy...!
Bo naród bywa na takiej katuszy,
Że kiedy zwróci wzrok ku jego męce,
Nawet Odwaga załamuje ręce.

Te pokolenia żałobami czarne,
Powietrze tylu klątwami ciężarne,
Tam myśl nie śmiała swoich zwrócić lotów
W sferę, okropną nawet ptakom grzmotów.

O Matko Polsko! ty tak świeżo w grobie
Złożona — nie ma sił mówić o tobie!
Ach, czyjeż usta śmią pochlebiać sobie,
Że dzisiaj znajdą to serdeczne słowo,
Która rozczula rozpacz marmorową,
Które z serc wieko podejmie kamienne,
Rozwiąże oczy tylą łez brzemienne
I sprawia, że łza przystygła wypłynie?
Nim się te usta znajdą, wiek przeminie.

Kiedyś — gdy zemsty lwie przehuczą ryki,
Przebrzmi głos trąby, przełamią się szyki,
Gdy wróg ostatni wyda krzyk boleści,
Umilknie, światu swobodę obwieści,
Gdy orły nasze, lotem błyskawicy,
Spadną u dawnej Chrobrego granicy,
Gdy ciał podjedzą i krwią całe spłyną
I skrzydła wreszcie na spoczynek zwiną! —
Wtenczas, dębowym liściem uwieńczeni,
Rzuciwszy miecze, siądą rozbrojeni,
Rycerze nasi! zechcą słuchać pieni!
Gdy świat obecnej doli pozazdrości,
Będą czas mieli słuchać o przeszłości!
Wtenczas zapłaczą nad ojców losami
I wtenczas łza ta ich lica nie splami.

Dziś dla nas, w świecie nieproszonych gości,
W całej przeszłości i w całej przyszłości
Jedna już tylko jest kraina taka,
W której jest trochę szczęścia dla Polaka,
Kraj lat dziecinnych! On zawsze zostanie
Święty i czysty, jak pierwsze kochanie,
Niezaburzony błędów przypomnieniem,
Niepodkopany nadziei złudzeniem,
Ani zmieniony wypadków strumieniem.
Gdziem rzadko płakał, a nigdy nie zgrzytał,
Te kraje rad bym myślami powitał,
Kraje dzieciństwa, — gdzie człowiek po świecie
Biegł jak po łące, a znał tylko kwiecie
Małe i piękne, jadowite rzucił,
Ku pożytecznym oka nie odwrócił.

Ten kraj szczęśliwy, ubogi i ciasny!
Jak świat jest boży, tak on był nasz własny!
Jakże tam wszystko do nas należało,
Jak pomnim wszystko, co nas otaczało:
Od lipy, która koroną wspaniałą
Całej wsi dzieciom użyczała cienia,
Aż do każdego strumienia, kamienia,
Jak każdy kątek ziemi był znajomy
Aż po granicę, po sąsiadów domy!

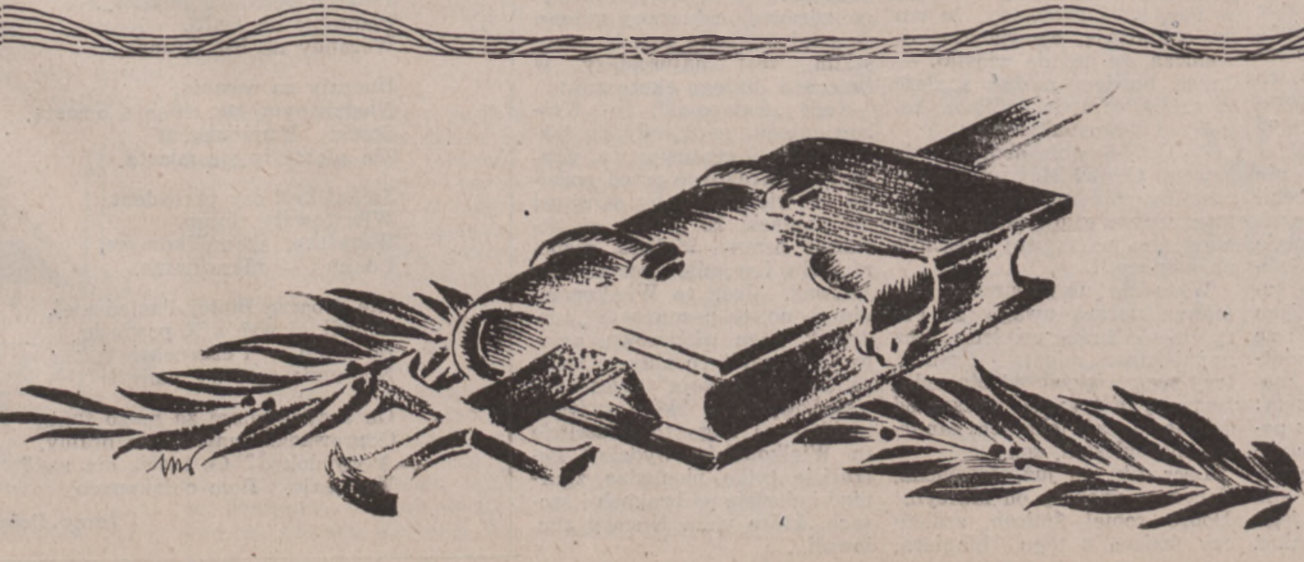
I tylko krajów tych obywatele
Jedni zostali wierni przyjaciele,
Jedni dotychczas sprzymierzeńcy pewni!
Bo któż tam mieszkał? — Matka, bracia, krewni,
Sąsiedzi dobrzy. Kogo z nich ubyło,
Jakże tam o nim często się mówiło,
Ile pamiątek, jaka żałość długa,
Tam, gdzie do pana przywiązańszy sługa,
Niż w innych krajach małżonka do męża,
Gdzie żołnierz dłużej żałuje oręża,
Niż tu syn ojca; po psie płaczą szczerze
I dłużej, niż tu lud po bohaterze.

I przyjaciele wtenczas pomogli rozmowie
I do piosnki rzucali mnie słowo za słowem,
Jak bajeczne żurawie nad dzikim ostrowem,
Nad zaklętym pałacem przelatując wiosną
I słysząc zaklętego chłopca skargę głośną,
Każdy ptak chłopcu jedno piórko zrucił,
On zrobił skrzydła i do swoich wrócił.

O, gdybym kiedy dożył tej pociechy,
Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy,
Żeby wieśniaczki, kręcąc kołowrotki,
Gdy odśpiewają ulubione zwrotki
O tej dziewczynie, co tak grać lubiła,
Że przy skrzypeczkach gąski pogubiła
I o tej sierocie, co piękna jak zorze,
Zaganiać gąski szła w wieczornej porze,
Gdyby też wzięły nakoniec do ręki
Te księgi proste jako ich piosenki!

Tak za dni moich, przy wiejskiej zabawie,
Czytano nieraz pod lipą na trawie
Pieśń o Justynie, powieść o Wiesławie,
A przy stoliku drzemiący pan włodarz
Albo ekonom lub nawet gospodarz
Nie bronił czytać i sam słuchać raczył
I młodszym rzeczy trudniejsze tłumaczył,
Chwalił piękności a błędom wybaczył.

I zazdrościła młodzież wieszczów sławie,
Która tam dotąd brzmi w lasach i w polu
I którym droższy, niż laur Kapitolu
Wianek rękami wieśniaczki osnuty
Z modrych bławatków i zielonej ruty...



JAN TOKARSKI

POCHWAŁA DZIELNICOWOŚCI

JANOWI BIELATOWICZOWI

Trzeba kochać coś, nie można kochać wszystkiego.

Sam Bóg podał jako miarę miłości bliźniego człowieczą miłość własną: Kochaj bliźniego jak siebie samego.

Miłość więc kształtuje się i wprawia na sobie samym i na tych, którzy sercu najbliżsi. Nie można kochać **ludzi**, nie kochając **rodziny**. Frazesem jest miłość **ludzkości** bez miłości swego **kraju**, swej ziemi najbliższej, swej dzielnicy, województwa, powiatu, miasta, wsi...

Kierunek, który głosi wszystko, nie wskazuje na nic, powiada Chesterton. Miłość, która „kocha" wszystko, nie kocha niczego.

Nie wierzcie człowiekowi, jeśli mówi: Nie jestem Wielko- ani Małopolaninem. Jestem przede wszystkim Polakiem. Kto tak mówi, nie jest być może Wielkopolakiem ani Małopolakiem. Lecz nie jest przez to Całopolakiem, najwyżej — Małoco-Polakiem.

Adam Wayne, bohater porywającej powieści Chestertona „The Napoleon of Notting Hill" ponosi klęskę, ginąc w walce o nędzną dzielnicę Londynu. Ale w swym przekonaniu umiera jako zwycięzca. On bowiem i jego banalne w cudzych oczach Notting Hill rozbudziło w innych miastach Londynu patriotyzm lokalny. Cóż z tego, że w Notting Hill są tylko zwyczajne domy, gazownia i wieża wodociągowa! Czy Ateny i Nazaret nie były kiedyś podobnie nędzne? Ale duch Aten poszedł w świat, a Nazaret, pospolite i małe, tak małe i tak pospolite, że w oczach snobów nigdy nie mogło zeń wyjść nic dobrego, stworzyło świat całkiem nowy. To też ginąc teraz w „ostatniej bitwie", wypowiada program całego swego życia: „I am doing now what I have done all my life, what is the only happiness, what is the only universality. I am clinging to something". Jedyne szczęście, jedyna uniwersalność, to być przywiązanym do czegoś wyraźnie określonego! „Głupcy, schodzicie świat cały, aby widzieć królestwa ziemi, jesteście liberalni, i mądrzy, jesteście kosmopolitami, a to jest wszystko, co szatan może wam dać — to wszystko, co był zdolny ofiarować Chrystusowi po to jedynie, aby zostało odepchnięte z pogardą... A ja zaś czuję radość, jaką ma kochanek, gdy wie, że kobieta jest wszystkim, radość, jaką odczuwa dzikus, gdy wie, że jego bóstwo jest wszystkim. Radość, że Notting Hill jest wszystkim".

Nie ma rzeczy nędznych w sobie. Miłość, która z nich wychodzi, lub ku nim biegnie, czyni je wielkimi.

Kto mówi, że jest „przede wszystkim", „tylko" Polakiem, albo mówi nieprawdę albo nigdy nie przemyślał tego, co twierdzi. Nie można się dorobić miliona, nie zacząwszy od złotówki.

Miłość swego kraju, to nie tylko zagadnienie hierarchii miłości poprzez związek wpierw ze swym szczególnie ukochanym zakątkiem. To także zagadnienie słonecznej sumy miłości wszystkich jego członków poprzez łączność ze swym najbliższym kawałątkiem ziemi, najbardziej znanym, a przez to najdroższym: nie ma bowiem miłości bez poznania. Jest to początek i ogniwo łańcucha miłości, którą nazywamy patriotyzmem. A siła łańcucha równa się sile jego najsłabszego ogniwa. — Jakaż więc może być siła łańcucha miłości, gdy to pierwsze ogniwo jest tak słabe, że niemal nie istnieje?

Lecz nie jest, na szczęście, tak źle.

Rzadkim, bardzo rzadkim zjawiskiem jest człowiek, który nie kocha przede wszystkim swej Małopolski, swego Mazowsza, swego Lwowa, swej Warszawy, swego Poznania... Wydaje mi się jednak, że to jest „niedobra miłość", niedozwolona. Jakaś miłość „na wiarę", jeśli zgoła nie kazirodcza. Dlatego jest zażenowany, gdy się o tym mówi. Wydaje mu się bowiem, że jedynie „szeroka" miłość „całej" Polski jest miłością po prostu.

Jakże się mylisz ty, który tak sądzisz...

Po zaborach Polacy stali się czuli i urażliwi na tak zwaną dzielnicowość, jakby to rzekomo nie było dzielnicowości przed zaborami. I to nie trzech, ale paru dziesiątek, tyle, ile było ziem i województw. Bardzo są czuli, bardzo obawiają się, aby tylko ktoś nie postawił im zarzutu, że szerzą... nienawiść dzielnicową.

A tymczasem dzielnicowość jest jedną z najwspanialszych sił do przerobienia na potęgę prawdziwej, naturalnej miłości, odpowiadającej ogólnym ale i szczegółowym prawom każdego bytu. Jest to bowiem niejako już mechaniczne zwrócenie uwagi na swoją część kraju, na jej odrębność i różność od reszty i na ukochanie tego, co tak bliskie i właśnie inne, a przez to całość jest bogatsza, różnorodniejsza, barwniejsza, bardziej się mieniąca. Po prostu piękna, bo piękno płynie z całości dobrze uporządkowanej z części różnych, a nie z mechanicznej jednorodności, która jest zaprzeczeniem i porządku i piękna.

Czy myślicie teraz jeszcze, znając tyle krajów, że dzielnicowość jest tylko polską rzeczywistością? Znając Italię, Francję, Niemcy, Anglię, Hiszpanię? To są prawdziwe różnice, a nie nasze dziecinne i dziecięce, polskie, między Poznaniakiem a Krakowianinem, między Lwowiakiem a Pomorzaninem.

W sztuce północnego autora francuskiego drab, nicpoń, oszust, fałszerz bywa najchętniej brany z Południa, południowy autor każe pochodzić swym ujemnym postaciom z Północy.

W słonecznej, soczystej sztuce Marcela Pagnol „Mariusz", w marsylskiej knajpie portowej toczy się rozmowa z marsylczykiem, który dopiero co wrócił z Paryża. Właściciel tawerny, Cezar, zapytuje, jako o rzecz najzwyklejszą, o jakiegoś znajomka, który mieszka w Paryżu. Zirytowany, że mu przeszkadzają, opowiadacz oświadcza, że go nie widział. — Jakże bowiem można znaleźć w takim mrowiu ludzkim kogoś tak małoznacznego?

— Co? — woła oburzony do żywego Cezar! Mój przyjaciel, rzetelny południowiec jest małoznacznym człowiekiem w jakiejś tam parszywej mieścinie na północy?!

Wyraźnie już wzburzony rozmówca zwraca uwagę, że Paryż to nie żadna mieścina, lecz największe miasto Francji, trzy razy większe od Marsylii, że mają tam wieżę, wyższą od dziesięciu największych kamienic marsylskich, że...

Lecz nikt go już nie słucha. Paryż — większy od Marsylii! Dobre sobie! Śmiech, szaleńczy śmiech z tego blagiera, który chciał okłamać mądrych południowców. Widać skutki! Raz dopiero tam był i od razu stał się takim samym kłamcą, jak oni wszyscy na tej Północy. Już się nawet nie oburzają. Pokazują tylko znacząco, że zwariował i dalej grają w karty, oszukując się niemiłosiernie.

Słodki obrazek miłości własnego kąta, ślepej i głuchej na wieści, że gdzieś może być lepiej, przestronniej, bogaciej, ładniej... Nie wierzy się i już!

Pewno, nie chodzi aż o takie zaślepienie. To tylko szczególny przypadek, lecz jakże wymowny. I mimo wszystko — jak wdzięczny i uroczy.

Można nie być podobnym do owych Marsylczyków z knajpy Cezara. Lecz chodzi o to także, aby nie być podobnym naprzykład do małżonka, który by postanowił wypierać się z wszystkich sił miłości do własnej żony w przekonaniu, że ta wyłączna miłość jest krzywdą pozostałych miliardów kobiet świata. A tak postępują ci, którzy wypierają się miłości do swej „dzielnicy", przeciwstawiając jej swą „całopolskość".

W 33 roku naszej ery wielu państwom groziła zagłada, wielu miastom upadek, ale Syn Boga Żywego płakał boleśnie tylko nad losem jednego z nich, swej ojczystej Jeruzalem, którą wróg zewsząd ściśnie, otoczy wałem i zniszczy, choć ta Jeruzalem miała umęczyć Go straszliwą śmiercią; płakał, jako patriota małego, kamienistego palestyńskiego kraiku, choć ukochał, bo na to przyszedł, „wszystkie narody". Bo miłość swej ziemi najbliższej nie tylko nie sprzeciwia się miłości szerszej, ale ją zakłada. Bez miłości bliższej nie ma dalszej, jak nie ma drzewa bez korzeni.

* * *

Lecz wróćmy do naszego anonimowego Całopolaka.

I tu od razu muszę zrobić pewien nawias. Pisząc to, mam wrażenie tak silne, iż jestem nim zażenowany, że mówię o sprawach całkiem emigrantom obcym. Od lat nie zaobserwowałem tu żadnego objawu dzielnicowości. Znak to, jak bardzo straciliśmy łączność z realnością kraju. Pod tym względem ludzie latami całymi zamknięci za drutem niemieckich obozów żyli życiem stokroć bardziej naturalnym. Dla nich były to sprawy najżywsze, skąd kto pochodził. Ale już i w obozach budził się złowrogi neutralizm „całopolskości". Był wtedy jeden niezawodny sposób spenetrowania, czy to człowiek już dla patriotyzmu stracony, czy tylko obłąkany heretyk „nacjonalizmu całopolskiego". Był pewien test na wydobycie z niego zdrowej, czerstwej miłości do swej dzielnicy przede wszystkim, test najprostszy w świecie i dlatego skuteczny:

Jeśli „Całopolak" był Krakowianinem, zaczynały się żarty z Galicji, centusiostwa, wracania w Krakowie przed godziną 10 wieczór aby stróżowi nie zapłacić 20 groszy za otwarcie bramy, nieładu, nieporządków i wogóle „rączekcałujostwa". Jeśli to Wielkopolanin — no, to poznańskie „ausdruki", noga wieprzowa, przebywanie całej rodziny w kuchni, aby w „pokoju" oszczędzać „klubowych", skórą obitych mebli — i kogo to właściwie ta Wielkopolska wydała? Potraficie tylko pieniądze zgarniać i chodzić po brukach i szosach, które wam Niemcy zbudowali...

Cóż się wtedy działo, choć przecież te napaści były prowadzone w tonie najoczywistszego żartu! Gdzież się podział ów Całopolak sprzed chwili? Został sam ogień, sama krew, sam kwiat najczulszej, najopętańszej, zaślepieńczo miłującej dzielnicowości. Jaka lawina zaprzeczeń i... dławiących gniewem napaści na dzielnicę tego, który zaczepił lub na resztę pozostałych.

To jest to, co być powinno! To jest naturalne, a więc zdrowe w swym żarze, napięciu i chełpliwości. Bo miłość — chełpliwa jest...

Jakże genialnie taki Chesterton, rozczarowany wynikami tamtej wojny, napisał po jej zakończeniu w „Nagrobkach żołnierzy angielskich": „Zginęli, aby uratować swój kraj, a uratowali tylko — świat"!

Wobec umiłowanej Wyspy dla tego geniusza brytyjskiej cywilizacji cały wielki świat jest „tylko" światem, dla którego nie warto było ginąć Anglikowi, jeśli nie uratowało się własnej Ojczyzny.

A więc całą duszą kochajmy swą najbliższą okolicę, swe miasto, swą **dzielnicę**. To jest warunek miłości całego **Kraju**. I chełpmy się tym, że jesteśmy Poznaniakami, Krakusami, Lwowiakami, Wilnianami, Pomorzakami, Warszawiakami. A jeśli ktoś będzie starał ci się udowodnić, że jest w Polsce i na świecie coś równie wspaniałego i tak osobliwego, jak twoje miasto i twoja okolica, nie wierz! Całym sercem — nie wierz! Uśmiechnij się tylko z wyrozumiałością. A gdy nie spostrzeże, możesz nawet znacząco pokazać palcem, wiesz, jest taki ruch współczujący w stronę czoła... Za to, że ośmiela się twierdzić rzeczy tak zgoła nieprawdopodobne...

Jan Tokarski

JERZY DOŁĘGA-KOWALEWSKI

BIAŁA PANIEŃSKA

H. i T. Wituńskim

Dlaczego właśnie — Panieńska,
I czemu przytem — Biała?
Quasi una fantasia —
Po prostu tak się zdawało.

Ale nie. Egzystuje naprawdę
Wieś taka w X powiecie.
Prosiłem szkockiego gołębia,
By poleciał tę wieś odwiedzić.

— Za daleko. I po co? Leć sam,
Ja się śpieszę do gołębnika.
Co robić? Chyba z tym pójdę
Do magika. Czarnoksiężnika.

Wyczaruje przez szklaną kulę
Punkt jeden w kuli środku,
Obojętne: wieś, chwilę, serce,
Któreś raz w życiu napotkał.

Zapamiętał. Już nie dostaniesz,
Bo szkło. Lecz chcesz je zobaczyć,
Odgadnąć, przeżyć na nowo
W całej wielości znaczeń.

Wziąłem więc: funta, słownik,
Tłumaczę głupio i długo,
Że ma być „white and maiden",
I że domki. Domki nad strugą.

Że przejeżdżałem tamtędy,
Śpiesząc. Zwyczajnym „dzisiaj"
Że „dzisiaj" stało się „wczoraj",
Tkwi w mózgu, jak obraz w kliszy.

A teraz chcę ją wywołać
Z skrzypiącym w studni żurawiem,
Z grochami sreber o wschodach
Na szmaragdowej trawie.

— Yes. Pokazywał, oszust,
Przez bite dwie godziny
Najświeższy i najbarwniejszy
Program waszego kina.

Tłoczyły mi się chaty
Jakichś Betchouanlandów,
Plantacje na Haiti,
Werandy na Rio Grande.

Huczały na oceanie,
Niedziwnym jak chleb z omastą,
Statki. Kamienicami
Złe piętrzyły się miasta.

Jechał król czy prezydent,
Wiwatowały tłumy.
Wszystko: skomplikowane,
Udane i — nierozumne.

Nie zobaczę Białej Panieńskiej,
Maleńkiej wsi w X powiecie,
Bo jeżeli — i czarnoksiężnik
Nie umie, cóż wy umiecie?

On przynajmniej za mego funta
Odprowadził mnie aż do bramy.
A wy dokąd? Co macie dla nas?
Więzienie. Dom obłąkanych.

Jerzy Dołęga-Kowalewski

TEKST I RYSUNKI Z PAMIĘCI: ANTONI WASILEWSKI

SIUDA BABA



WIELICZKA. Dolny Rynek z kościołem parafialnym.
Z prawej Zamek - siedziba dyrekcji salin

Bez Krakowa, Poznania,
Warszawy, Wieliczki —
Nie warta Polska
Ani jednej świeczki!

Przysłowie staropolskie

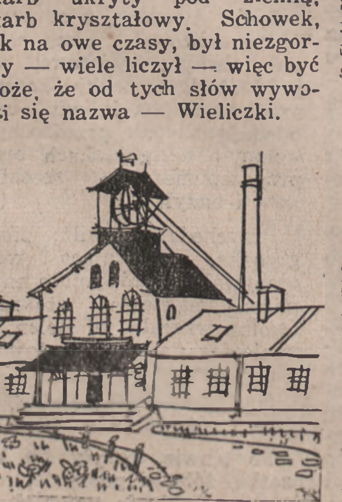
Tak na przełaj, od Wisły pod słońce — to i będzie z cztery mile!... To tam, gdzie kończy się równina Wisły a zaczyna się przedgórze Podkarpacia. Nie bez „ale" nazwano przedmieście Krakowa — Podgórzem!

To jeszcze nie są góry. To „cosik inszego" — jak mawia ludek tych stron. Do gór — „kajsi jesce daleko", ale z Rożnowej, to już ujrzysz Luboń, Obidową, Babią Górę a i w dobry dzień Tatry.

Te pierwsze sfalowane wzgórza najtrafniej nazwać pagorkami lub mówiąc gwarą tamtejszą „pagóreckami". Rożnowa — to już góra. Spocisz się, nim wyjdziesz. Z Rożnowej, jak po stole w stronę Raciborska, Pawlikowic, Świątnik.

U stóp wspomnianej góry, w wydrążonym przez naturę kotle, schowało się miasteczko niewielkie, lecz chędogie i znane nawet na krańcach świata. Nawet w biały dzień — na milę nie dostrzeżesz wieży fary, baszty zamku Kazimierza lub murów „Remotów" (jak mówią górnicy) czyli Reformatów. Gdzieś to wszystko przykucnęło, zagłębiło się, zapadło w ziemię.

A historia tej ludzkiej osady datuje się z najodleglejszych czasów, w których człowiek poszukiwał pożywienia i soli. I znalazł pra-pradziad skarb ukryty pod ziemią, skarb kryształowy. Schowek, jak na owe czasy, był niezgorszy — wiele liczył — więc być może, że od tych słów wywodzi się nazwa — Wieliczki.



Szyb Daniłowicza

— — — — — —

Historia Wieliczki sięga odległych czasów. Z kronik opactwa OO. Benedyktynów w Tyńcu, z końca XI wieku, dowiadujemy się, że żupa solna w Wieliczce obowiązana była od stu lat dostarczać klasztorowi pewną ilość baryłek soli jako daninę. Wniosek stąd prosty, że Wieliczka śmiało może obchodzić tysiąclecie swego istnienia i nawet wyprzedzić projektowany dziesięciowiekowy jubileusz Krakowa. Chociaż bowiem Kraków nie odrazu zbudowano, to jednak Wieliczka już wtedy istniała!

W okresie wiosennym stara górnicza osada, pobielana raz w rok na Wielkanoc, tonie w zieleni lip, kasztanów i krzewów bzu. A bzu tego jest dosłownie — kopalnia... Nie brak też i bieli sadów na stokach góry. Śliwy wielickie, wyhodowane na soli, mają ustaloną Nie bez słuszności mówi się też o „słonych cenach".

A nad tym uroczym miasteczkiem unosi się jakiś dziwny zapach — mieszanina woni kwiatów, parującej soli z warzelni, cuchnącej melasy z rafinerii i wyziewów kopalnianych. To wszystko tworzy zawiesinę powietrza, w której szaleją gołębie — gołębie tak żywe, jak żywe są koła wyciągowe wind szybowych.

Z lotu gołębia Wieliczka przedstawia się jeszcze ciekawiej. Cała poprzecinana jest krętymi uliczkami, ścieżkami o nazwach przeważnie starych, jak i zabawnych. Spotykamy więc uliczki: „Na Gaju", „Na Stawach", „Międzuch" i „Kozirożek" tak kręty, jak kręte są rogi kóz pasących się na pobliskich wzgórzach.

Stara Wieliczka posiada dwa rynki — jeden jakby od święta, na procesje, obchody, uroczystości, drugi — na codzień, czyli na targi. A targ w Wieliczce, cóż to za malowniczy obrazek: kobyłki, kobiały, kobiałki, dzieżki, donice, garnce, konwie, ba nawet koziki i kukiełki! Wieliczka słynie nie tylko z soli, znana jest też z wypieku kukiełek czyli plecionych bułek, nakrapianych czarnuszką i solą w kryształkach. Właściwie kukiełki wypieka się w jednej z podmiejskich wiosek, ale sława spada na Wieliczkę. Tak jak na Kraków za lisiecką kiełbasę! Kukiełki w dawnych czasach były różne. Trafiały się i „duże sztuki" — na pół stołu i na całą ławę. Nie jadłem w życiu smaczniejszego pieczywa i konia z rzędem (malowanego) stawiam za uncję wielickiej kukiełki.

Wieliczka posiada liczne dzielnice o charakterystycznych nazwach jak: Surówka, Turówka, Zadory, Pohulanka, Podmuchówka, Pod Kijem, Pod Janinem i spadek po nieboszczce Austrii —„Na Szwabach". Klasne — dzielnica żydowska i siedziba filii słynnej rafinerii Bolsa z Holandii, to już późniejszy okres historii, okres c. k. austriackich „hofratów" z piuropuszami na „ciaku", o szpadach z drzewa i w dodatku na śrubkę.

A nad tymi Turówkami i Surówkami zawieszona jest pajęczyna stalowych lin, po których ślamazarnie przesuwają się kopalniane wózeczki, jak małe pająćzki. W dole natomiast rozsiadła się typowa prowincja, pokryta pleśnią i pajęczyną ubiegłego wieku.

Społeczeństwo dzieliło się na dwa obozy — zwłaszcza w niedzielę po sumie. Na panie kapeluszowe i w chusteczkach. Im bogatszy był kapelusz w sztuczne kwiaty śliwki, wiśnie, trześnie a nawet w jaskółki czy inny drób, tym hierarchia społeczna była wyższa. Na widok nowego kapelusza zaraz szły głosy pod kościołem: „To nowa pani radczyni z Pałacu", „to pani nadinżynierowa z Zamku" lub tylko „to sztygarowa z kolonii".

Trzeba pamiętać, że Wieliczka, to nie takie sobie zwykłe miasteczko. To miasteczko królewskie.Tu zjeżdżał „na randki" Kazimierz Wielki i Łokietek na szklanicę piwa do karczmy „Pod Kijem" w drodze do Niepołomic. Wieliczka posiada i Pałac i Zamek i ratusz. W tych to gmachach mieszkali przed wojną wyżsi urzędnicy salin i inżynierowie kopalń.

Wieliczka o miedzę sąsiadująca z Krakowem, z przeszło 12-u tysiącami mieszkańców, miała zawsze światowe ambicje. Kiedy pewien Wieliczanin powrócił na ojczyzny łono z Ameryki, odrazu postawił samotny, trzypiętrowy „drapacz chmur", który mieszkańcy natychmiast nazwali „Ameryką".

Pisząc o Wieliczce nie sposób pominąć Jarosza i Palmowskiego — dwu restauratorów i szynkarzy. U nich to zatrzymywał się nawet pan wojewoda, nie mówiąc o rezydującym oficjalnie w mieście staroście. „Jarosz" na oścież otwarty zapraszał do „wodopoju" najpóźniejsze samochody — dla napojenia przegrzanej chłodnicy. A od wczesnego rana po każdej takiej wizycie szły gadki, jak to pan minister, pan naczelnik i pan dyrektor konferowali na temat rozbudowy Wieliczki .

W tych miłych knajpkach, ozdobionych napisami w rodzaju: „Kredyt umarł", „Bacha nie żyje" „Kto nie ma pieniędzy, niech wódki nie pije" itp., przewijali się przez cały dzień: pan radca, pan nadinżynier, pan burmistrz, pan ławnik, pan rejent, pan naczelnik stacji, pan konsyliorz, rzadko kto nie posiadał tytułu. Tu była kuźnia pomysłów rozbudowy, tu codzień fetowano nowy „szlauch" czy sikawkę.

Słyszę taką rozmowę:

— No, jakże tam się miewa radcunio?
— Trojako, trojako, panie bdzdziejaszku!
— To znaczy?
— Dobrze, źle, bylejako...

— — — — — —

Wieliczka górnicza to znowu inny świat. Świat znoju, potu i niebezpieczeństw. W życiu górnika są dwa pojęcia: „pod ziemią" i „na świecie". Dlatego tak często spotyka się „na świecie" krzyże, kapliczki i wota za cudowne ocalenie górnika i znaki, że w tym a w tym miejscu zapadł się dom, zgnęły dzieci, zwierzęta...

Pod ziemią prawie kościół. Natrafisz tam na kapliczki św. Barbary, św. Kingi, św. Antoniego, wyrąbane w soli i rzeźbione rękami górników - artystów — prawdziwe dzieła sztuki! W wielkiej podziemnej sali balowej jest też duże płótno Włodzimierza Tetmajera, przedstawiające św. Kingę z legendarnym pierścieniem.

Na straży kopalni na powierzchni ziemi czuwają szyby. Ochrzcił je górnik mianami: Boża Wola, Boża Męka, Św. Kingi lub imionami sławnych ludzi: Paderewskiego, Daniłowicza. Wieliczka podziemi, to czar baśni, kryształowych legend i duchów.

— — — — — —

Na wspomnianym „Kozimrożku" mieszkał przed laty górnik - popijbrat Majeran, ojciec licznej dzieciarni, wiecznie rozbieganej, umorusanej i krzykliwej. Pewnego dnia zapytał ojca najmłodszy dzieciak:

— Tata, kiedy to będą te święta, co się je i rzyga?

Mały Majeran miał na myśli nie zwyczajne święta wielkanocne z tuzinami jaj, kopcami szynek i metrami kiełbasy. Wspominał te święta, w czasie których „latała" — jak mawiają Wieliczanie — „Siuda-Baba".

Cóż to znowu za „Siuda-Baba"? — To tradycja wielicka wywodząca się zapewne z czasów jeszcze pogańskich, które dotrwały do naszych dni w tym zakątku Polski. W drugi dzień świąt wielkanocnych chłopak gibki w nogach, ale już pod wąsem, przebiera się w suknie kobiece. Wdziewa



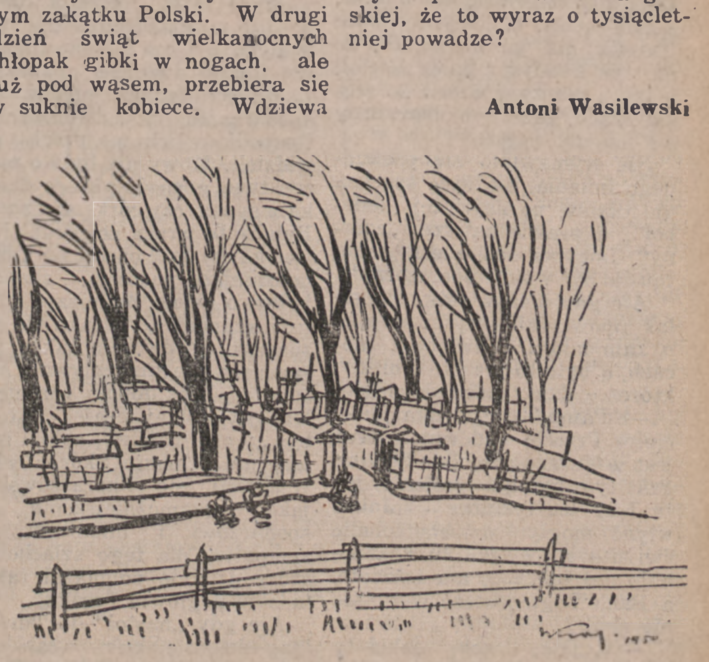
długą czarną spódnicę, bluzkę, wiąże na głowie czarną chustę, przewiązuje się powrozem i czerni gębę sadzą. W lewej ręce trzyma zwęglony krzyż, w prawej długie biczysko, którym przeraźliwie strzela. „Siuda-baba" „lata" po mieście wśród pisku i wrzasku uciekających dzieci, które choć ledwo żywe ze strachu, przecież krzyczą: „siuda - ruda, siuda - chuda!" A Siuda - baba, podciągając kiecki, pędzi jak szalona za uciekającymi. Raz po raz dopada ofiary— przeważnie młodej panny lub eleganckiego fircyka. Jeśli się ofiara nie okupi, krzyż pozostawia ślady na wypudrowanych policzkach.

Legenda mówi, że pod Wieliczką, gdzieś „Na Gaju" stała świątynia pogańska, a w niej płonął wieczny ogień. Ognia strzegły dziewice, przemocą porywane przez kapłanów. Te łapanki odbywały się z wiosną przy płaczu i pisku dziewcząt. Niechętne widać bywały kapłanki kapłanom, skoro w tradycji pozostał po nich bat, gęba osmolona, czarna szata i sznur — symbol przywiązania do świątyni. Krzyż pewnie już doszedł w czasach chrześcijańskich.

„Siuda - baba" jest gwoździem wielkanocnych zwyczajów w Wieliczce, zwłaszcza dla dzieciarni. Słowo zaś „siuda" w wielickiej mowie potocznej oznacza sąsiadkę, przekupkę, urzędniczkę państwową lub pannę z zadartym noskiem. To tako siuda - baba!

O tym wszystkim napisałem nie po to, aby się „Siuda - baba" przyjąć miała w naszych hostelach, klubach i ogniskach. Bo gdyby się sprawa oprzeć miała o sądy, jak tu wytłumaczyć sprawiedliwości angielskiej, że to wyraz o tysiącletniej powadze?

Antoni Wasilewski



Las mojej Matki

JAN TOKARSKI

W PLESZEWIE I TURSKU

Różne bywają rodzaje sławy na świecie. — Miasto ongiś powiatowe Pleszew sławne było ze swoich szewców „którzy psa zjedli". Mówiąc prawdę i tylko prawdę, w Pleszewie ujmowano to trochę inaczej — „szewcy psa żdżarli". Nie było bezpiecznie wypowiedzieć ten aforyzm w obecności któregokolwiek mistrza obuwniczego. Nigdzie też w Polsce szewcy nie przestrzegali tak surowo, aby siebie nazywać i aby ich nazywano obuwnikami...

Brak tu miejsca, aby wywieść dramatyczne zdarzenie, które zrodziło ten slogan, tak głośny w naszych stronach Wielkopolski. Wystarczy jednak powiedzieć, że głuszył on wszystkie inne, jeszcze bardziej godne tytuły sławy tego miasteczka, jak to, że wiódł z niego swój ród s ł y n n y, jeden z największych w dziejach polskiego teatru aktor Bonawentura Kudlicz, wychowawca całego aktorskiego pokolenia; że Czarniecki tu kwaterował w czasie Potopu; że stąd ks. prałat Niesiołowski zaczął swój apostolat abstynencki i ogródków dziecięcych i działkowych; że przejeżdżał tędy sam Mickiewicz, gdy ze Śmiełowa wybrał się przez Pleszew i Gołuchów do Jedlca, aby obejrzeć niebywałe dziwo — głaz, ogromny jak dom, w jedleckim lesie, zapchany tu kiedyś pono ze Skandynawii przez morenę czołową.

Ten głaz narzutowy pozwala mi na portamento do Turska nad Prosną, w pleszewskim powiecie.

Jest w Polsce i znane Tursko, gdzieś w sandomierskim, sławne klęską, poniesioną przez rycerstwo polskie od Tatarow w roku 1241. Jednak Tursko nad Prosną i trzema innymi rzeczkami: Nerem, Trzemną i Giszką dopiero czeka na historię.

Otóż Turszczanie — sąsiedzi zaś wsi okolicznych, z takiego Gołuchowa, Brzezia, czy Brudzewa już za Prosną, z którego pochodził sławny nauczyciel Kopernika, Wojciech, nazywali ich Turszczole — otóż więc Turszczole mieli własną teorię tłumaczącą pochodzenie jedleckiego głazu, inną od teorii geografow czy geologów — nie wiem bowiem, jaka to nauka zajmuje się morenami, zadrami i usypiskami.

— Bardzo dawno temu leciał powietrzem szatan, a na małym palcu niósł wielką skałę. Chciał ją ćpnąć" na Tursko i zniszczyć cołkum wieś. Lecz gdy zbliżoł się nad Jydlec, stężoł cołki, a świynte moce Turska tak gó łosłabiuły, że mu tyn kamiyń z palca zlecioł, a łun z płaczym wrócił do piekła nazod, gdzie tyn oberczorny ale mu doł wciyre".

Nie wymawiało się paskudnego imienia, nie było szatana ani diabła, co najwyżej „dzioboł", a prawie zawsze: „czorny". Lucyper zaś, rzecz jasna, musiał być wtedy ‚oberczorny'.

Ale gdy kiedyś stary Pamulak opowiadał swą historyjkę o kamieniu i o świętych mocach, a było to już „za Polski", któreś z dzieci powiada nagle:

— Pamulok, co tyżta godocie! Przecie cudowny łobroz jest w Tursku niecołkie 200 lot, zaś tyn kamiyń jydlecki już ta leży lot tysiunce... Jakże wiync mogły dziobła łobalić świynte moce, jak łu nos nie buło ani łobrazu, ani kościoła, a Pana Boga jeszcze w Polsce nie znali?

— Łojeja, kozok, jakiś ty mundry! Jak Salamónowe portki. Uwożej no, żeby ci sie rozum nie wysiłuł, bobyś pryndko kite łodwaluł...

Słuchacze wybuchnęli śmiechem, a honor Pamulaka wyszedł nienaruszony.

W Tursku nie tylko Pamulak wierzył, że kamienie rosną.

— To czemu, powiada znów jakiś mały mądrala, czemu nasza szkoła ani źdźiebko nie urosła, choć mo fundamynta z takich wielgachnych kamiyni?

— A tak tymu, tej kozok, żeś gupi jak stołowe giyry! Bo mosz wiedzieć, że kamiynie rosnom ino w ziymi. A skorno słónko na nie popatrzy, rosnąć przestajóm. Nie widzisz że, gunglu jedyn, jak to jest na polach? Co rok docna wysprzuntane, a na bezrok znowu ich cołkie kupy. Latoś pozbiyrumy, to na łóński znów twoi tata bydóm wyłorywać, szak nie? Tak jest i tak bydzie ciyngiem i ciyngiem, bo to Boże prawo. A ty jezdeś nicpoty niedowiarek, co Pana Boga bez sumiynio łobrożo. Powiym dziekanowi, to cie z nauki wyćpnie.

„Nauką" tourt court, jak i w innych okolicach Polski, był „kataiz" i „kistoryjo świynto". Inne przedmioty, to tylko „uczynie się" lub „szkoła". Szkołą nie gardzono, ale jej nikt specjalnie nie admirował. Po prostu—była. Toć wiadomo, że „kożdy człowiek czytać i pisać musi potrafić, aby ciymny nie być. Bo ciymny prawie zawsze na lunta i łatynde wyrośnie, a jeżeli nie, to gó lada chtóry nadrach byle knyfem w te i nazod łobróci".

Twarde chłopy mieszkały w Tursku „na tych pijochach" (piachach). Ośmdziesięcioletni Michalski, któremu kość w dłoni się psuła, gdy ani lekarz nie pomógł, ani „dochtórki" (znachorki), ani odczyniania starej Ordzińskiej i Kłakuloczki, ani okadzania, położył rękę na pieńku przed domem, wziął siekierę i z zimną krwią zaczął rąbać. Zobaczyła przez okno żona że dłoń jeszcze się trzyma włóknami, a męża siły opuszczają, wyskoczyła z chałupy ...Jedno cięcie — i po krzyku! Krew zatamowano domowymi sposobami, dłoń stara Michalska bez wiedzy księdza „pochowała" na cmentarzu, „aby jej starymu na Sundzie Łostatecznym nie brakło", a Michalski żył jeszcze sporo lat. Żałował tylko, że tak długo dawał się łudzić lekarzowi i dochtórkóm.

— A nie baliście się zakażenia?

— Niby ta z czegó? Toć siekiyra ino drzewo rómbie i na świynty ziymi leży, w chtóry i jo byde leżoł. Ziymia naszo przecie mi na zdradzie nie stoi!

Była c z ę ś ć gospodarska wsi i część dworska, „pańska". Łączności żadnej między gospodarzami, a „dworusami". Gospodarze ich po prostu nie widzieli. Mowy nie było o małżeństwie gospodarskiego dziecka z synem czy córką dworuski. Byłaby to wręcz zbrodnia. Nawet gdyby król ożenił się z najnędzniejszą poddaną, skandal byłby o wiele mniejszy. Ale taki skandal w Tursku się nie zdarzył. Z dworem także gospodarze nie utrzymywali stosunków. Lecz dopóki właścicielem dworskiej części Turska był „pan z panów", chłopi mówili mu „panie Skóraczeski" (nazywał się Skoraszewski), jako najzamożniejszemu gospodarzowi i mieli swoistą sympatię dla tego szlachcica, który dzielnie pomnażał także ludzkie pogłowie Turska.

Ale gdy „nastoł" do Turska inny dziedzic, który wcale nie był „panem z panów", zniknęła sympatia.

— Co łon ta za pon! Szlachcic chyba łod tegó, że jegó łojciec świnie szlachtowoł, a potym się na hynglyrza (handlarza) bydła przerzuciuł. Czy i ożym mu kierdy (wieprza) nie przedowoł! Ile razy! A jak się dorobiuł, to dwie wsie kupiuł. A tyn sa dziedzic, choć sie z krewniom kardynała łożyniuł, niczym nie bydzie, ino hynglyrza synem, chocby nie dwie, ale dwadzieścia wsiów mioł...

Tursko, to był przede wszystkim kościół z łaskami słynącym obrazem Matki Boskiej Turskiej, z odpustem na Zielone Świątki sławnym na całe okolice, to była szkoła, dwa murowane budynki z czerwonoburej cegły. To był ośrodek całego wieńca osiedli: Kwiatów, Biłgoraje, Kucze, Podjedlec, Podborek, Pleszówka, Bielewy, Kajew, Turowy, Wielka Wieś, Bogusław i, wreszcie, jeszcze jedno, którego nazwę podaję tylko w poczuciu najsumienniejszego obowiązku dziennikarskiego, aczkolwiek z ciężkim sercem: Półdupek. Ha, trudno! Tak się ta część wsi nazywała.

W wieku XVIII dobrodziejem kościoła był Wincenty Suchorzewski, właściciel części Turska i brat jego Jan, słynny poseł ziemi kaliskiej z okresu Sejmu Czteroletniego, znany z warcholskiej i patetycznej demonstracji przeciw konstytucji majowej. Znalazłem kiedyś w stosach papierzywa, zalegających jeden z kątów kościoła, wśród papierów różnych rodzin szlacheckich, wśród listów Jana Suchorzewskiego, mały świstek, pisany ręką Wincentego, w którym dziedzic Turska „uznaje austeryjnemu" (tj. dzierżawcy austerii — gościńca) wydanie „konfederatom barskim spod chorągwi JWPana Józefa Morawskiego" tyle i tyle garnców piwa i wódki, wypitych przez jego podkomendnych... Oto odpryski wielkiej historii w małym Tursku.

Warto było zajrzeć po probostwach wielkopolskich do starych ksiąg parafialnych. W Tursku była szacowna „Liber Baptismorum", księga chrztów. Między zapiskami chrztów, przerywanych informacjami proboszczów o tym, co działo się w Rzeczypospolitej i najbliższych okolicach, znaleźć można było najbardziej wzruszające, prywatne troski zacnych plebanów. Oto notatka, pismem 18 wieku, o treści, której żywo pamiętam: „Dnia... nagodziłem parobka Sebastiana. Postąpiłem mu myta talarów pięć, korcy pszenicy dwa i przyodzieje. Upominałem, aby w uczciwości i bojaźni Bożej służył". A wynik tych upomnień, zapisany nieco bledszym atramentem?" — „Okradł i uciekł"...

Nie miał szczęścia wielebny parochus. Nieco później zwierza się swej księdze chrztów: „Dnia... skradziono mi z obory vaccam (krowę) blisko ocielenia będącam. Quam Tu Altissime redde plebanatui turscensi." (Którą Ty, o Najwyższy, zwróć plebanatowi turskiemu).

Jeszcze dobrych kilka lat po odzyskaniu niepodległości, gdy ktoś z Turska wybierał się do Kalisza lub Stawiszyna, a więc za Prosnę, którą kiedyś przebiegała granica prusko-rosyjska, jechał „do Polski". A jeszcze do samej wojny, gdy wiał ostry, nieprzyjemny, zimny wiatr od wschodu, w Tursku się mówiło:

— Dzisio wiatr łod Moskola. Ta jeje z chałpy nie wychodzić...

Dzisiaj każdy wiatr, który wieje nad polskimi Turskami, jest wiatrem „od Moskala".

Jan Tokarski

* *

Przestałem się wadzić z Bogiem —
Serdeczne to były zwady!
Zrodziła je ludzka niedola,
Na którą nie ma już rady.

Tliło w mej piersi zarzewie,
Materiał skier tak bogaty,
Że jeno dąć w palenisko,
A ogień ogarnie światy.

Wiedziały o tym potęgi,
Co gdzieś po norach drzemią
Albo z bezczelną jawnością
Jak mgły się włóczą nad ziemią.

Wiedziały — cj o tym moce,
Które złośliwość popędza,
By szły powiększać nędzę
Tam, gdzie największa jest nędza.

Lecz już nie wadząc się z Bogiem,
Mam jeszcze cichą nadzieję,
Że na dnie mego spokoju
Żar świętej wojny tleje.

Jan Kasprowicz

TERESA SKÓRZEWSKA

SEN O WSI

Drogi Redaktorze!

Proponuje mi Pan napisanie felietonu o wsi polskiej. Wezwanie sięga dokuczliwie w studnię, dokąd świadomość odrzuca wszystko, czego czuć nie chce. Echo wsi polskiej, grające w nas wszystkich, tylko Mickiewicz mógł z tej czeluści wydobyć, niemy krzyk emigranckiej tęsknoty, przekształcając się w pomnik istotnie trwalszy, niż bronz. W „Panu Tadeuszu" zmieciona z powierzchni ziemi wieś polska trwać będzie pokolenia, jak świat Odyseusza.

Co mówić o niej kolegom-żołnierzom, którzy przecież są wsią polską. Jak ona i, jak łany pszeniczne — z ziemi wytryśli. Wieniec ich mogił oplótł Europę niemym protestem przeciw krzywdzie tej ziemi. A w sen żywych w blaszanych beczkach niewiele od trumien różnych wiatr wiosenny wnosi zapach kresowych czarnoziemów. I śni się wydarty przez kołchozy lemiesz, jak dziób okrętu rozpruwający czarną falę gleby.

Niekiedy latem, gdy siedzieliśmy u progu (czy można mówić o progu beczki?) patrząc w parę słoneczników siłą przyzwyczajenia towarzyszących nam wzdłuż obcych dróg, wspólne milczenie wypełniało się po brzegi tą wsią, co była nam życiem.

Dziś otaczają mnie dzieci tych żołnierzy. Przeglądam właśnie setki malowanych przez nie obrazków. Już nie polska ziemia, a południowe morza, złote pustynne piachy, palmy, słonie i żyrafy zamieszkały wyobraźnię tych nieznających domu małych wędrowców, których pierwszym wspomnieniem Indie i Południ. Afryka (pamięć Rosji — głód i wycieńczenie zatarły w dzieciach, nawet starszych, doszczętnie).

Może dla nich „Gazeta Niedzielna" umieści wspomnienie dziecięcego snu z polskiej wsi.

Bardzo dawno temu — samoloty nie rzucały jeszcze bomb na ziemię — w Wielki Piątek dzwony kościelne leciały do Rzymu, a wracały na Wielkanoc, rozsiewając po świecie jajka czekoladowe — Dzieci znajdowały ich dużo w ogrodzie.

Nie było radia z muzyką i śpiewem i ze złymi wiadomościami o wojnie.

Wieczorami Dziadzia przynosił z biblioteki wielkie książki, pożółkłe, bardzo stare. Były w nich obrazki: Adam i Ewa bawili się w raju z małpkami, z lwem i niedźwiedziem. Tygrysowi Ewa kładła winogrona w paszczę. Matka Boska siedziała wśród róż kwitnących, patrzała jak Pan Jezus maleńki i święty Jan biegają po łączce z owieczkami. — Był potop; cały świat wodą zalany, jak morze: tylko arka po nim pływała — długi dom na łodzi. Przez okno żyrafa wyciągała szyję, w innym hipopotam ziewał z nudów i zmartwienia, że słońce nie świeci.

Nad stołem wisiała lampa ze szklanym kominem. Gdy nie uważało się oglądając obrazki — z lampy wydobywały się chmury i w pokoju zaczynały padać sadze, czarne jak smoła.

Na dworze tymczasem śnieg padał, długo, jednostajnie: drzewa w ciężkie płaszcze otulał. Słońce rozpraszało chmury, rzucało garście brylantów i drzewa stały jak biali królowie. Wicher nadlatywał, płaszcze z drzew zdzierał, śniegi z pól zgarniał w zaspy nieprzebyte; ludzi do domu pędził jak wilk tabun koni. Gdy mu się opierali, uszy odgryzał, śniegiem zasypywał wreszcie ustawał zziajany.

Mróz równinę w olbrzymie lustro szlifował, okna haftował dziwnymi kwiatami, a ogród stroił w lekkie koronki, rozwieszone na igliwiu sosen, opadające jak przeźroczyste welony na gałązkach brzóz, przyczepione do zeschłych traw i badyli.

Przychodziła odwilż: ziemia grząska, ociekająca wodą, zdobywała się nieśmiało na uśmiech pierwszej stokrotki. Zwolna wracała jej zieleń, jak rumieniec dziecku, uratowanemu z choroby. Stroiła się.

Na kasztanach zapalały się białe i różowe świeczki.

Po trawie toczyły się kurczątka żółte i puszyste, jak mimozy. Jabłonie zmieniały się w różowe kopuły.

W tych zaczarowanych pałacach dzieci spędzały długie wiosenne dni. Później wiatr kwiaty zrywał, po trawnikach rozrzucał; na drzewach pozostawały zielone owoce. Przez lato słońce malowało je złotem i czerwienią. Na ziemi dynie dęły się, pęczniały, by się co prędzej przerosnąć. Jabłuszka pachnące i smaczne śmiały się z ich wysiłków.

— — — — —

Często po obiedzie zajeżdżała jednokonka na wielkich, czerwonych kołach. Dziadzia w nią wsiadał, czworo wnuków, dwa jamniczki. Jechało się w pole...

Wiosną pola były jak zeszyty szkolne, poliniowane kreskami kiełkujących zbóż. Później pokrywały się dywanami różowej koniczyny, liście buraków rozkładały się zieloną świecącą ceratą, łubin falował jak niebieskie jezioro.

Stadko kuropatw zrywając się budziło jamniczki z sennego lenistwa. Przednimi łapkami wsparte o poręcz, wyprostowane, węszyły. Gdy pokusa brała górę nad tchórzostwem — zdobywały się na skok — i zaczynały gonić na krótkich, krzywych łapkach, niezgrabnie przewracając się w bruzdach, gdy kuropatw już śladu nie było.

W podobny niepokój wpadały dzieci, gdy zdaleka dostrzegły płóg parowy. — Bo niczym wyprawa samolotem lub na karuzeli — wobec jazdy na pługu. Stoją dwie lokomotywy jak smoki, na dwóch krańcach pola. Gruba, srebrna lina je łączy. Na niej, jak olbrzymia gąsienica, sunie pług; głowę, lemieszami świecącą, w górę zadziera, worek z piaskiem na grzbiecie dźwiga. Maszynista na nim siedzi, dwoje dzieci na kolana bierze. Dalsza lokomotywa gwiżdże przeraźliwie, zaczyna ciągnąć, z klekotem linę na wielką szpulę nawija. Pod pługiem niknie złote rżysko, rozpryskuje się w c z a r n ą fontannę, rozkłada się w skibę pachnącą... Człowiek — myślą, ptak — śpiewem, kwiat — barwą, ziemia — jak kadzielnica modli się do Boga zapachem. Jesienią, gdy wszystko zamiera, pługiem rozwarta ziemia — śpiewa potęgą swych soków zapowiedź nowego życia.

Czasem pług na kamieniu podskoczy; dzieci chwytają kierowcę za ramię. — Ledwo do jednego smoka dotarli, już drugi szarpać zaczyna. Tam i z powrotem... W głowie się kręci, jakby się nie jedno pole, a całą okrągłą ziemię objeżdżało.

Inne jeszcze podróże bywały: małymi jak zabawki wagonikami woziło się buraki do cukrowni. Latem siadało się wyżej, niż na grzbiet najwyższego słonia, na wóz drabiniasty, naładowany zbożem. Kiedyś się taki wóz wywrócił trzeba było szukać dzieci głęboko w słomie. Więcej było śmiechu, niż bólu...

Tylko na ośle nie dało się podróżować. Gdy się chciało na niego wsiąść, kładł się na ziemię i ryczał wielkim głosem. Zato biegał za dziećmi jak piesek. Lubił dziewczynki ciągnąć za włosy, udając, że skubie trawę na łące...

Dokończenie w n-rze następnym

JANINA TOKARSKA

W NOWYM MIEŚCIE NAD WARTĄ

Losy hrabiego Weyharda Wrzeszczowicza, „instygatora" napadu Szwedów na Jasną Górę, jednego z bohaterów „Potopu", określone tajemniczo przez Sienkiewicza, intrygują każdego czytelnika „Trylogii". Ostatnie dni jego życia opisuje sławny wielkopolski poeta, współczesny tamtym wypadkom, Samuel ze Skrzypny Twardowski w ogromnym poemacie „Woyna domowa". W jednym z epizodów wojny szwedzko-polskiej na terenie Wielkopolski hrabia Weyhard, ratując się z rozbitego oddziału w lasach nad Wartą, został w miejscowości Lubrze-Piaski tuż pod Nowym Miastem przychwycony przez chłopów i — dosłownie — wbity kijami w piasek nadrzeczny. Taki był oto jego koniec, którego w „Potopie" „rozmawiający nie odgadli"...

Jedyny to może pyłek historii, nawiany na to pięknie nad rzeką, wśród gęstych borów położone miasteczko w okolicy Jarocina. Sąsiedni Mieszków oficjalnie wszedł do dziejów Polski. Bodaj, że to Korotyński twierdził, iż Mieszków, to ongiś Myszków, a stąd mieli pochodzić Myszowie, czy Myszkowie, którzy zlikwidowali kruszwicką dynastię Popielidów. Sąsiednie Dębno, o czym prawdopodobnie nie wie żaden z jego mieszkańców — może się chlubić wielkim arcybiskupem Kotem, któren to wychowaniem dzieci Jagiellończyka się parał. Prześliczne pobliskie Orzechowo puszy się okresem „Waldopera", opery leśnej za „Miymca", jak tam mówili, czyli za pierwszego zaboru...

No, a co powiedzieć o takim Żerkowie, stolicy „wielkopolskiej Szwajcarii", o niedalekim Śmiełowie, gdzie Mickiewicz „Pana Tadeusza" pisał? A o Wrześni leżącej „o żabi skok" i każdemu Polakowi znanej... Był nawet czas, dzięki słynnemu listowi Sienkiewicza — że znanej i milionom Europejczyków z katowania dzieci szkolnych, które nie chciały nauki religii w języku niemieckim! Wciąż jeszcze w tych stronach, do czasu wojny (a może i teraz?) — śpiewano:

Tam od Wisły i od Warty
Biją głosy w świat otwarty,
Biją głosy i wieść leci —
Prusak męczy polskie dzieci.
Prusak męczy i katuje...

Jak we wszystkich niemal miejscowościach w Wielkopolsce, gdzie każde usypisko, czy góreczkę większą od kretowiska, nazywano nieodmiennie „szwedzkim grobem" — widać choćby z tych reliktów pamięciowych, jak ta nacja straszliwie dała się w Wielkopolsce we znaki — tak i w Nowym Mieście był oczywiście „szwedzki kopiec". Co romantyczniejsze dziewoje tego grodu twierdziły jednak, że stał tu ongiś zamek dwóch braci, z których — jakże by mogło być inaczej! — jeden drugiego zabił z zazdrości o wdzięki jakiejś nowomiejszczanki.

Miejska zaiste nazwa tego nadwarciańskiego partykularza nie obroniła go od faktu, że Nowe Miasto — zostało wsią! Na nic zdało się oburzenie jego tysiąca piećdziesięciu ośmiu „bywateli". Wysokie mniemanie o swojej miejskiej przynależności Nowomiejszczanie wyrażali w chętnym określeniu „tych ta ze wsi", sąsiadów z okolicy, w chustkach na głowie i w „jaczkach". Damy nowomiejskie dla odróżnienia i podkreślenia swej wyższości — nosiły kapelusze.

Jak wszędzie w Wielkopolsce, tak i tu urządzenie mieszkania stało w pierwszym rzędzie potrzeb życiowych rodziny. „Sypialka" czy „jadalka" stawała się nieraz przeszkodą zawarcia małżeństwa. Wspólne dorabianie się młodych w tym zakresie traktowano z niesmakiem. Taki casus mógł się zdarzyć jakimś tam „auslenderom" np. z Warszawy, czy z Krakowa, co o f i e r a n y w oknach nie dbali, co tylko ubrać się, zabawić — „zastaw się, a postaw się" — uważali za główną dewizę życiową. Nie powiem, aby ta opinia zacnych i solidnych Wielkopolan była ze wszystkim słuszna. Wiem jednak z całą pewnością, że na wszystkich przybyszów ekskluzywni obywatele b. księstwa poznańskiego patrzyli okiem krytycznym, nierzadko niechętnym.

Dla skrótu — (kto by tam dociekał i po co, — kto zacz ten, co nie z Poznańskiego?)— nazywało się ich „galicjokami z kongresowy". Było to określenie powszechne i w pewnych sferach miało pełne prawo obywatelstwa.

Różnice dzielnicowe łatwiej zacierały się w większych ośrodkach. Nowe Miasto nad Wartą chlubiło się jednak poczuciem odrębności. Na tym tle dochodziło do przeróżnych sensacji lokalnych. Oto do jednej z ostatnich tam rodzin weszła przez małżeństwo osoba z kresów wschodnich. Etykietka „galónki" przylgnęła do niej natychmiast. Zaczęły też dokoła delikwentki krążyć najbardziej fantastyczne opowieści — szeptane na wieczornych pogawędkach „pod lipami", na progach domostw, przed zasunięciem rygla. Pora wieczorna, gdy już i psy się pośpiły, zdała się najbardziej sposobna do przyjęcia lub wygłoszenia jakiejś szczególnej nowiny, zrodzonej na przyzbie. W rezultacie wszyscy o wszystkich wiedzieli wszystko. Zdarzyło się czasem wszelako, że niejeden i o sobie samym dowiadywał się znacznie więcej, niż by się odważył kiedykolwiek pomyśleć.

Trzy rodziny nowomiejskie rej wiodły w sprawach towarzyskich, sąsiedzkich i gromadzkich. Wszystkie trzy ze sobą spowinowacone i wszystkie trzy skłócone w rozmaitych kombinacjach: ten „nie godoł" z tym, ta z tamtym i z tą, a każdy dla innych, zaiste przedziwnych powodów, o których można by tomy pisać! Życie tych domów było wieczystym tematem dociekań, sporów, a także — doraźnych osądów. Zapadały one najczęściej na terenie „kolonialki i interesu delikatesów", który to „interes" był miejscem spotkań głównie żeńskiego pogłowia.

Przed sklepem stolarza Kowalskiego stanął wóz obficie wymoszczony s ł o m ą. Oko przybyłego wabi niebylejaka wystawa, urozmaicona artystycznym pomysłem właściciela magazynu. Na zielonej, sztywnej karcie papieru, zawieszonej na niewidocznych drucikach, czerwieni się i żółci na przemian zachęcający napis:

W Nowym Mieście nad Wartą,
Prosto i drogą utartą,
Tam w składzie u Kowalskiego
Dostanie się wszystkiego.

Okazała trumna, z imponującymi okuciami — stoi na pierwszym miejscu. Za nią tłoczą się inne, „pojedyncze", jak mówią w Poznańskim, co znaczy: zwyczajne, nieozdobne. Nieco w głębi sprzęty dla żywych. Trumna jednak, to największa radość stolarza. Pracy niewiele, zarobek najlepszy, a odwieczny zwyczaj nie pozwala się targować o cenę rodzinie nieboszczyka.

—Panie Kowalski—przyśli my tu do pana obstalować t r u n ę do naszego dziadusia. Po czemu przyjdzie tako jedno, jak ta tu?

Majster dziadusia znał, wie jakiego był wzrostu, podaje więc cenę bez wahania.

W domu stolarza na „piynterku" dzierżawi „pomieszkanie z antrejką, jadalką i sypialką" fotograf, który także chce żyć. I on już czeka na swój zarobek.

— Panie Grabarczyk! Pón roz już buł dać się u mnie odebrać, nu nie? Szak pón wiy, że na moich potegrafkach nawet nieboszczyk wyglóndo jak żywy. Nie dalibyście ta odebrać dziadusia, jak już bydzie w trunie ubrany? Mógłbym tyż zdjunć wyprowodz zwłok, jak ksiądz proboszcz przydzie. Mielibyście pamiuntkę na cołkie życie, że dzieci po dzieciach, broń Boże oginioszka!

* * *

Nachylił się dzień ku wieczorowi. Czerwona tarcza słońca zawisła nisko nad ziemią i zwolna zapada w oszarzałą ciszę. Posnęły dzieci i gwiazdy po jednej zaczęły się wyłuskiwać w wysokościach nieba. Dalekie szczekanie psów, pomieszane z rechotem żabich kumoszek, niosło się szarym wieczorem, wróżącym noc spokojną i krzepki sen.

Gdy i światła zajaśniały już w oknach domostw, w głównej ulicy Nowego Miasta pojawiła się sylwetka pana Zabija. Okazała postać służbisty sunęła zwolna po chodniku. Granatowy mundur i opaska czapki, opuszczona na brodę miały zaświadczyć, że oto przedstawiciel władzy bezpieczeństwa — pełni swą powinność. Mogłoby się komuś wydawać czymś szczególnym, że człowiek nazwiskiem Zabij — jest uosobieniem pieczy nad sprawami ładu i sprawiedliwości. On jednak nie przejmował się wcale tą sprzecznością. Postać swoją po ulicach miasteczka obnosił z godnością, rzec by można z dostojeństwem sprawiedliwego. Rad udzielał chętnie i szczodrze, mówił wolno i wyjaśniał co trzeba akuratnie, rozkazy zwierzchników wypełniał sumiennie. Był to więc, jak się to mówi — człowiek wzorowy.

Minęła godzina dziesiąta. Stróż bezpieczeństwa i porządku, dbały o dobry sen obywateli Nowego Miasta, słysząc niepożądane o tej porze dźwięki muzyki radiowej, zbliżył się zwolna pod uchylone okno mieszkania państwa Kowalskich i założywszy ręce do tyłu, jak to się zwykle działo, gdy oznajmiał rzecz nieodwołalną, wyrzekł zwolna, patetycznie i władczo: z a m k n i j p a n t e n r a d i o n!

Innych niepotrzebnych głosów nie pochwycił. Królestwo prosiąt i królików, rozgadane pośród dnia też i kurzym wrzaskiem na podwórzu, zataiło się w oczekiwaniu na dzień jutrzejszy.

Na progu sieni, w anemicznym świetle latarni gazowej, przysiadł na twardym ogonie zawsze skory do figli i podskoków — Bukiet. Ciepła i żywa białość jego sierści, omotana nieustającym zapachem wiatru, ruchliwy koniec ogona i pracowity język, którym omiatał resztki wspomnień zakazanej uczty — świadczyły o doskonałym jego zdrowiu i zadowoleniu ze siebie.

Filuterny znak, który już nieraz psuł mu dobre i wesołe stosunki z gospodarzami, bystro zauważony przez argusowe oko policjanta, miał się stać przedmiotem jutrzejszej sensacji Nowego Miasta. Oto doniesienie o zginięciu kury będzie uzupełnione ważną obserwacją przedstawiciela władzy, szczegółem znamiennym: kurzym piórkiem na nosie Bukieta.

Janina Tokarska



HARENDA POD ZAKOPANEM
MIEJSCE WIECZNEGO SPOCZYNKU J. KASPROWICZA

CZESŁAW BEDNARCZYK

WIELKANOC

W skorupie twardej nowe życie,
(Grubszej o warstwy lat).
Nie wydostało się z powicia
— Nie chce go świat.

Szara i zimna, obca ziemia,
Jak bez obrusa stół.
W myślach zostały lat wspomnienia
— Odciski kół.

Pisanki barwne — krwawe plamy,
Wzory zawiłych dróg.
Kto nam odwali ciężki kamień,
— Stanie się cud?

JAN TOKARSKI

W PLESZEWIE I TURSKU

Różne bywają rodzaje sławy na świecie. — Miasto ongiś powiatowe Pleszew sławne było ze swoich szewców „którzy psa zjedli". Mówiąc prawdę i tylko prawdę, w Pleszewie ujmowano to trochę inaczej — „szewcy psa żdżarli". Nie było bezpiecznie wypowiedzieć ten aforyzm w obecności któregokolwiek mistrza obuwniczego. Nigdzie też w Polsce szewcy nie przestrzegali tak surowo, aby siebie nazywać i aby ich nazywano obuwnikami...

Brak tu miejsca, aby wywieść dramatyczne zdarzenie, które zrodziło ten slogan, tak głośny w naszych stronach Wielkopolski. Wystarczy jednak powiedzieć, że głuszył on wszystkie inne, jeszcze bardziej godne tytuły sławy tego miasteczka, jak to, że wiódł z niego swój ród s ł y n n y, jeden z największych w dziejach polskiego teatru aktor Bonawentura Kudlicz, wychowawca całego aktorskiego pokolenia; że Czarniecki tu kwaterował w czasie Potopu; że stąd ks. prałat Niesiołowski zaczął swój apostolat abstynencki i ogródków dziecięcych i działkowych; że przejeżdżał tędy sam Mickiewicz, gdy ze Śmiełowa wybrał się przez Pleszew i Gołuchów do Jedlca, aby obejrzeć niebywałe dziwo — głaz, ogromny jak dom, w jedleckim lesie, zapchany tu kiedyś pono ze Skandynawii przez morenę czołową.

Ten głaz narzutowy pozwala mi na portamento do Turska nad Prosną, w pleszewskim powiecie.

Jest w Polsce i znane Tursko, gdzieś w sandomierskim, sławne klęską, poniesioną przez rycerstwo polskie od Tatarów w roku 1241. Jednak Tursko nad Prosną i trzema innymi rzeczkami: Nerem, Trzemną i Giszką dopiero czeka na historię.

Otóż Turszczanie — sąsiedzi zaś wsi okolicznych, z takiego Gołuchowa, Brzezia, czy Brudzewa już za Prosną, z którego pochodził sławny nauczyciel Kopernika, Wojciech, nazywali ich Turszczole — otóż więc Turszczole mieli własną teorię tłumaczącą pochodzenie jedleckiego głazu, inną od teorii geografów czy geologów — nie wiem bowiem, jaka to nauka zajmuje się morenami, zadrami i usypiskami.

— Bardzo dawno temu leciał powietrzem szatan, a na małym palcu niósł wielką skałę. Chciał ją ćpnąć" na Tursko i zniszczyć całkum wieś. Lecz gdy zbliżoł się nad Jydlec, stężoł całki, a świynte moce Turska tak gó łosłabiuły, że mu tyn kamiyń z palca zlecioł, a łun z płaczym wrócił do piekła nazod, gdzie tyn oberczorny ale mu doł wciyre".

Nie wymawiało się paskudnego imienia, nie było szatana ani diabła, co najwyżej „dziobał", a prawie zawsze: „czorny". Lucyper zaś, rzecz jasna, musiał być wtedy ‚oberczorny'.

Ale gdy kiedyś stary Pamulak opowiadał swą historyjkę o kamieniu i o świętych mocach, a było to już „za Polski", któreś z dzieci powiada nagle:

— Pamulok, co tyżta godocie! Przecie cudowny łobroz jest w Tursku niecałkie 200 lot, zaś tyn kamiyń jydlecki już ta leży lot tysiunce... Jakże wiync mogły dziobła łobalić świynte moce, jak łu nos nie buło ani łobrazu, ani kościoła, a Pana Boga jeszcze w Polsce nie znali?

— Łojeja, kozok, jakiś ty mundry! Jak Salamónowe portki. Uwożej no, żeby ci sie rozum nie wysiłuł, bobyś pryndko kite łodwaluł...

Słuchacze wybuchnęli śmiechem, a honor Pamulaka wyszedł nienaruszony.

W Tursku nie tylko Pamulak wierzył, że kamienie rosną.

— To czemu, powiada znów jakiś mały mądrala, czemu nasza szkoła ani ździebko nie urosła, choć mo fundamynta z takich wielgachnych kamiyni?

— A tak tymu, tej kozok, żeś gupi jak stołowe giyry! Bo mosz wiedzieć, że kamiynie rosnom ino w ziymi. A skorno słonko na nie popatrzy, rosnąć przestajóm. Nie widzisz że, gunglu jedyn, jak to jest na polach? Co rok docna wysprzuntane, a na bezrok znowu ich całkie kupy. Latoś pozbiyrumy, to na łóński znów twoi tata bydóm wyłorywać, szak nie? Tak jest i tak bydzie ciyngiem i ciyngiem, bo to Boże prawo. A ty jezdeś nicpoty niedowiarek, co Pana Boga bez sumiynio łobrożo. Powiym dziekanowi, to cie z nauki wyćpnie.

„Nauką" tourt court, jak i w innych okolicach Polski, był „kataiz" i „kistoryjo świynto". Inne przedmioty, to tylko „uczynie się„ lub „szkoła". Szkołą nie gardzono, ale jej nikt specjalnie nie admirował. Po prostu—była. Toć wiadomo, że „każdy człowiek czytać i pisać musi potrafić, aby ciymny nie być. Bo ciymny prawie zawsze na luńta i łatynde wyrośnie, a jeżeli nie, to gó lada chtóry nadrach byle knyfem w te i nazod łobróci".

Twarde chłopy mieszkały w Tursku „na tych pijochach" (piachach). Ośmdziesięcioletni Michalski, któremu kość w dłoni się psuła, gdy ani lekarz nie pomógł, ani „dochtórki" (znachorki), ani odczyniania starej Ordzińskiej i Kłakuloczki, ani okadzania, położył rękę na pieńku przed domem, wziął siekierę i z zimną krwią zaczął rąbać. Zobaczyła przez okno żona że dłoń jeszcze się trzyma włóknami, a męża siły opuszczają, wyskoczyła z chałupy ...Jedno cięcie — i po krzyku! Krew zatamowano domowymi sposobami, dłoń stara Michalska bez wiedzy księdza „pochowała" na cmentarzu, „aby jej starymu na Sundzie Łostatecznym nie brakło", a Michalski żył jeszcze sporo lat. Żałował tylko, że tak długo dawał się łudzić lekarzowi i dochtórkóm.

— A nie baliście się zakażenia?

— Niby ta z czegó? Toć siekiyra ino drzewo rómbie i na świynty ziymi leży, w chtóry i jo byde leżoł. Ziymia naszo przecie mi na zdradzie nie stoi!

Była c z ę ś ć gospodarska wsi i część dworska, „pańska". Łączności żadnej między gospodarzami, a „dworusami". Gospodarze ich po prostu nie widzieli. Mowy nie było o małżeństwie gospodarskiego dziecka z synem czy córką dworuski. Byłaby to wręcz zbrodnia. Nawet gdyby król ożenił się z najnędzniejszą poddaną, skandal byłby o wiele mniejszy. Ale taki skandal w Tursku się nie zdarzył. Z dworem także gospodarze nie utrzymywali stosunków. Lecz dopóki właścicielem dworskiej części Turska był „pan z panów", chłopi mówili mu „panie Skóraczeski" (nazywał się Skoraszewski), jako najzamożniejszemu gospodarzowi i mieli swoistą sympatię dla tego szlachcica, który dzielnie pomnażał także ludzkie pogłowie Turska.

Ale gdy „nastoł" do Turska inny dziedzic, który wcale nie był „panem z panów", zniknęła sympatia.

— Co łon ta za pón! Szlachcic chyba łod tegó, że jegó łojciec świnie szlachtowoł, a potym się na hynglyrza (handlarza) bydła przerzuciuł. Czy i jo żym mu kierdy (wieprza) nie przedowoł! Ile razy! A jak się dorobiuł, to dwie wsie kupiuł. A tyn sa dziedzic, choć sie z krewnioczkóm kardynała łożyniuł, niczym nie bydzie, ino hynglyrza synem, choćby nie dwie, ale dwadzieścia wsiów mioł...

Tursko, to był przede wszystkim kościół z łaskami słynącym obrazem Matki Boskiej Turskiej, z odpustem na Zielone Świątki sławnym na całe okolice, to była szkoła, dwa murowane budynki z czerwonoburej cegły. To był ośrodek całego wieńca osiedli: Kwiatów, Biłgoraje, Kucze, Podjedlec, Podborek, Pleszówka, Bielewy, Kajew, Turowy, Wielka Wieś, Bogusław i, wreszcie, jeszcze jedno, którego nazwę podaję tylko w poczuciu najsumienniejszego obowiązku dziennikarskiego, aczkolwiek z ciężkim sercem: Półdupek. Ha, trudno! Tak się ta część wsi nazywała.

W wieku XVIII dobrodziejem kościoła był Wincenty Suchorzewski, właściciel części Turska i brat jego Jan, słynny poseł ziemi kaliskiej z okresu Sejmu Czteroletniego, znany z warcholskiej i patetycznej demostracji przeciw konstytucji majowej. Znalazłem kiedyś w stosach papierzywa, zalegającego jeden z kątów kościoła, wśród papierów różnych rodzin szlacheckich, wśród listów Jana Suchorzewskiego, mały świstek, pisany ręką Wincentego, w którym dziedzic Turska „uznaje austeryjnemu" (tj. dzierżawcy austerii — gościńca) wydanie „konfederatom barskim spod chorągwi JWPana Józefa Morawskiego" tyle i tyle garnców piwa i wódki, wypitych przez jego podkomendnych... Oto odpryski wielkiej historii w małym Tursku

Warto było zajrzeć po probostwach wielkopolskich do starych ksiąg parafialnych. W Tursku była szacowna „Liber Baptismorum", księga chrztów. Między zapiskami chrztów, przerywanych informacjami proboszczów o tym, co działo się w Rzeczypospolitej i najbliższych okolicach, znaleźć można było najbardziej wzruszające, prywatne troski zacnych plebanów. Oto notatka, pismem 18 wieku, o treści, którą żywo pamiętam: „Dnia... nagodziłem parobka Sebastiana. Postąpiłem mu myta talarów pięć, korcy pszenicy dwa i przyodziewę. Upominałem, aby w uczciwości i bojaźni Bożej służył". A wynik tych upomnień, zapisany nieco bledszym atramentem? — „Okradł y uciekł"...

Nie miał szczęścia wielebny parochus. Nieco później zwierza się swej księdze chrztów: „Dnia... skradziono mi z obory vaccam (krowę) blisko ocielenia będącam. Quam Tu Altissime redde plebanatui turscensi!" (Którą Ty, o Najwyższy, zwróć plebanatowi turskiemu)...

Jeszcze dobrych kilka lat po odzyskaniu niepodległości, gdy ktoś z Turska wybierał się do Kalisza lub Stawiszyna, a więc za Prosnę, którą kiedyś przebiegała granica prusko-rosyjska, jechał „do Polski". A jeszcze do samej wojny, gdy wiał ostry, nieprzyjemny, zimny wiatr od wschodu, w Tursku się mówiło:

— Dzisio wiatr łod Moskola. Ta lepi z chałpy nie wychodzić...

Dzisiaj każdy wiatr, który wieje nad polskimi Turskami, jest wiatrem „od Moskala".

Jan Tokarski

* * *

Przestałem się wadzić z Bogiem —
Serdeczne to były zwady:
Zrodziła je ludzka niedola,
Na którą nie ma już rady.

Tliło w mej piersi zarzewie,
Materiał skier tak bogaty,
Że jeno dać w palenisko,
A ogień ogarnie światy.

Wiedziały o tym potęgi,
Co gdzieś po norach drzemią
Albo z bezczelną jawnością
Jak mgły się włóczą nad ziemią.

Wiedziały — ci o tym moce,
Które złośliwość popędza,
By szły powiększać nędzę
Tam, gdzie największa jest nędza.

. . . .

Lecz już nie wadząc się z Bogiem,
Mam jeszcze cichą nadzieję,
Że na dnie mego spokoju
Żar świętej wojny tleje.

Jan Kasprowicz

TERESA SKÓRZEWSKA

SEN O WSI

Drogi Redaktorze!

Proponuje mi Pan napisanie felietonu o wsi polskiej. Wezwanie sięga dokuczliwie w studnię, dokąd świadomość odrzuca wszystko, czego czuć nie chce. Echo wsi polskiej, grające w nas wszystkich, tylko Mickiewicz mógł z tej czeluści wydobyć, niemy krzyk emigranckiej tęsknoty, przekształcając się w pomnik istotnie trwalszy, niż bronz. W „Panu Tadeuszu" zmieciona z powierzchni ziemi wieś polska trwać będzie pokolenia, jak świat Odyseusza.

Co mówić o niej kolegom-żołnierzom, którzy przecież są wsią polską. Jak ona i, jak łany pszeniczne — z ziemi wytryśli. Wieniec ich mogił oplótł Europę niemym protestem przeciw krzywdzie tej ziemi. A w sen żywych w blaszanych beczkach niewiele od trumien różnych wiatr wiosenny wnosi zapach kresowych czarnoziemów. I śni się wydarty przez kołchozy lemiesz, jak dziób okrętu rozpruwający czarną fałę gleby.

Niekiedy latem, gdy siedzieliśmy u progu (czy można mówić o progu beczki?) patrząc w parę słoneczników siłą przyzwyczajenia towarzyszących nam wzdłuż obcych dróg, wspólne milczenie wypełniało się po brzegi tą wsią, co była nam życiem.

Dziś otaczają mnie dzieci tych żołnierzy. Przeglądam właśnie setki malowanych przez nie obrazków. Już nie polska ziemia, a południowe morza, złote pustynne piachy, palmy, słonie i żyrafy zamieszkały wyobraźnię tych nieznających domu małych wędrowców, których pierwszym wspomnieniem Indie i Południ. Afryka (pamięć Rosji — głód i wycieńczenie zatarły w dzieciach, nawet starszych, doszczętnie).

Może dla nich „Gazeta Niedzielna" umieści wspomnienie dziecięcego snu z polskiej wsi.

Bardzo dawno temu — samoloty nie rzucały jeszcze bomb na ziemię — w Wielki Piątek dzwony kościelne leciały do Rzymu, a wracały na Wielkanoc, rozsiewając po świecie jajka czekoladowe — Dzieci znajdowały ich dużo w ogrodzie.

Nie było radia z muzyką i śpiewem i ze złymi wiadomościami o wojnie.

Wieczorami Dziadzia przynosił z biblioteki wielkie książki, pożółkłe, bardzo stare. Były w nich obrazki: Adam i Ewa bawili się w raju z małpkami, z lwem i niedźwiedziem. Tygrysowi Ewa kładła winogrona w paszczę. Matka Boska siedziała wśród róż kwitnących, patrzała jak Pan Jezus maleńki i święty Jan biegają po łączce z owieczkami. — Był potop; cały świat wodą zalany, jak morze: tylko arka po nim pływała — długi dom na łodzi. Przez okno żyrafa wyciągała szyję, w innym hipopotam ziewał z nudów i zmartwienia, że słońce nie świeci.

Nad stołem wisiała lampa ze szklanym kominem. Gdy nie uważało się oglądając obrazki — z lampy wydobywały się chmury i w pokoju zaczynały padać sadze, czarne jak smoła.

Na dworze tymczasem śnieg padał, długo, jednostajnie: drzewa w ciężkie płaszcze otulał. Słońce rozpraszało chmury, rzucało garście brylantów i drzewa stały jak biali królowie. Wicher nadlatywał, płaszcze z drzew zdzierał, śniegi z pól zgarniał w zaspy nieprzebyte; ludzi do domu pędził jak wilk tabun koni. Gdy mu się opierali, uszy odgryzał, śniegiem zasypywał wreszcie ustawał zziajany.

Mróz równinę w olbrzymie lustro szlifował, okna haftował dziwnymi kwiatami, a ogród stroił w lekkie koronki, rozwieszone na igliwiu sosen, opadające jak przeźroczyste welony na gałązkach brzóz, przyczepione do zeschłych traw i badyli.

Przychodziła odwilż: ziemia grząska, ociekająca wodą, zdobywała się nieśmiało na uśmiech pierwszej stokrotki. Zwolna wracała jej zieleń, jak rumieniec dziecku, uratowanemu z choroby. Stroiła się.

Na kasztanach zapalały się białe i różowe świeczki.

Po trawie toczyły się kurczątka żółte i puszyste, jak mimozy. Jabłonie zmieniały się w różowe kopuły.

W tych zaczarowanych pa-

JANINA TOKARSKA

W NOWYM MIEŚCIE NAD WARTĄ

Losy hrabiego Weyharda Wrzeszczowicza, „instygatora“ napadu Szwedów na Jasną Górę, jednego z bohaterów „Potopu“, określone tajemniczo przez Sienkiewicza, intrygują każdego czytelnika „Trylogii“. Ostatnie dni jego życia opisuje sławny wielkopolski poeta, współczesny tamtym wypadkom, Samuel ze Skrzypny Twardowski w ogromnym poemacie „Woyna domowa“. W jednym z epizodów wojny szwedzko-polskiej na terenie Wielkopolski hrabia Weyhard, ratując się z rozbitego oddziału w lasach nad Wartą, został w miejscowości Lubrze-Piaski tuż pod Nowym Miastem przychwycony przez chłopów i — dosłownie — wbity kijami w piasek nadrzeczny. Taki był oto jego koniec, którego w „Potopie“ „rozmawiający nie odgadli“...

Jedyny to może pyłek historii, nawiany na to pięknie nad rzeką, wśród gęstych borów położone miasteczko w okolicy Jarocina. Sąsiedni Mieszków oficjalnie wszedł do dziejów Polski. Bodaj, że to Korotyński twierdził, iż Mieszków, to ongiś Myszków, a stąd mieli pochodzić Myszowie, czy Myszkowie, którzy zlikwidowali kruszwicką dynastię Popielidów. Sąsiednie Dębno, o czym prawdopodobnie nie wie żaden z jego mieszkańców — może się chlubić wielkim arcybiskupem Kotem, któren to wychowaniem dzieci Jagiellończyka się parał. Prześliczne pobliskie Orzechowo puszy się okresem „Waldopera“, opery leśnej za „Miymca“, jak tam mówili, czyli za pierwszego zaboru...

No, a co powiedzieć o takim Żerkowie, stolicy „wielkopolskiej Szwajcarii“, o niedalekim Śmiełowie, gdzie Mickiewicz „Pana Tadeusza“ pisał? A o Wrześni leżącej „o żabi skok“ i każdemu Polakowi znanej... Był nawet czas, dzięki słynnemu listowi Sienkiewicza — że znanej i milionom Europejczyków z katowania dzieci szkolnych, które nie chciały nauki religii w języku niemieckim! Wciąż jeszcze w tych stronach, do czasu wojny (a może i teraz?) — śpiewano:

Tam od Wisły i od Warty
Biją głosy w świat otwarty,
Biją głosy i wieść leci —
Prusak męczy polskie dzieci.
Prusak męczy i katuje...

Jak we wszystkich niemal miejscowościach w Wielkopolsce, gdzie każde usypisko, czy góreczkę większą od kretowiska, nazywano nieodmiennie „szwedzkim grobem“ — widać choćby z tych reliktów pamięciowych, jak ta nacja straszliwie dała się w Wielkopolsce we znaki — tak i w Nowym Mieście był oczywiście „szwedzki kopiec“. Co romantyczniejsze dziewoje tego grodu twierdziły jednak, że stał tu ongiś zamek dwóch braci, z których — jakże by mogło być inaczej! — jeden drugiego zabił z zazdrości o wdzięki jakiejś nowomiejszczanki.

Miejska zaiste nazwa tego nadwarciańskiego partykularza nie obroniła go od faktu, że Nowe Miasto — zostało wsią! Na nic zdało się oburzenie jego tysiąca pięćdziesięciu ośmiu „bywateli“. Wysokie mniemanie o swojej miejskiej przynależności Nowomiejszczanie wyrażali w chętnym określeniu „tych ta ze wsi“, sąsiadów z okolicy, w chustkach na głowie i w „jaczkach“. Damy nowomiejskie dla odróżnienia i podkreślenia swej wyższości — nosiły kapelusze.

Jak wszędzie w Wielkopolsce, tak i tu urządzenie mieszkania stało w pierwszym rzędzie potrzeb życiowych rodziny. „Sypialka“ czy „jadalka“ stawała się nieraz przeszkodą zawarcia małżeństwa. Wspólne dorabianie się młodych w tym zakresie traktowano z niesmakiem. Taki casus mógł się zdarzyć jakimś tam „auslenderom“ np. z Warszawy, czy z Krakowa, co o f i e r a n y w oknach nie dbali, co tylko ubrać się, zabawić — „zastaw się, a postaw się“ — uważali za główną dewizę życiową. Nie powiem, aby ta opinia zacnych i solidnych Wielkopolan była ze wszystkim słuszna. Wiem jednak z całą pewnością, że na wszystkich przybyszów ekskluzywni obywatele b. księstwa poznańskiego patrzyli okiem krytycznym, nierzadko niechętnym.

Dla skrótu — (kto by tam dociekał i po co, — kto zacz ten, co nie z Poznańskiego?)— nazywało się ich „galicjokami z kóngresowy“. Było to określenie powszechne i w pewnych sferach miało pełne prawo obywatelstwa.

Różnice dzielnicowe łatwiej zacierały się w większych ośrodkach. Nowe Miasto nad Wartą chlubiło się jednak poczuciem odrębności. Na tym tle dochodziło do przeróżnych sensacji lokalnych. Oto do jednej z ostatnich tam rodzin weszła przez małżeństwo osoba z kresów wschodnich. Etykietka „galónki“ przylgnęła do niej natychmiast. Zaczęły też dokoła delikwentki krążyć najbardziej fantastyczne opowieści — szeptane na wieczornych pogawędkach „pod lipami“, na progach domostw, przed zasunięciem rygla. Pora wieczorna, gdy już i psy się pośpiły, zdała się najbardziej sposobna do przyjęcia lub wygłoszenia jakiejś szczególnej nowiny, zrodzonej na przyzbie. W rezultacie wszyscy o wszystkich wiedzieli wszystko. Zdarzyło się czasem wszelako, że niejeden i o sobie samym dowiadywał się znacznie więcej, niż by się odważył kiedykolwiek pomyśleć.

Trzy rodziny nowomiejskie rej wiodły w sprawach towarzyskich, sąsiedzkich i gromadzkich. Wszystkie trzy ze sobą spowinowacone i wszystkie trzy skłócone w rozmaitych kombinacjach: ten „nie godoł“ z tym, ta z tamtym i z tą, a każdy dla innych, zaiste przedziwnych powodów, o których można by tomy pisać! Życie tych domów było wieczystym tematem dociekań, sporów, a także — doraźnych osądów. Zapadały one najczęściej na terenie „kolonialki i interesu delikatesów“, który to „interes“ był miejscem spotkań głównie żeńskiego pogłowia.

Przed sklepem stolarza Kowalskiego stanął wóz obficie wymoszczony s ł o m ą. Oko przybyłego wabi niebylejaka wystawa, urozmaicona artystycznym pomysłem właściciela magazynu. Na zielonej, sztywnej karcie papieru, zawieszonej na niewidocznych drucikach, czerwieni się i żółci na przemian zachęcający napis:

W Nowym Mieście nad Wartą,
Prosto i drogą utartą,
Tam w składzie u Kowalskiego
Dostanie się wszystkiego.

Okazała trumna, z imponującymi okuciami — stoi na pierwszym miejscu. Za nią tłoczą się inne, „pojedyncze“, jak mówią w Poznańskim, co znaczy: zwyczajne, nieozdobne. Nieco w głębi sprzęty dla żywych. Trumna jednak, to największa radość stolarza. Pracy niewiele, zarobek najlepszy, a odwieczny zwyczaj nie pozwala się targować o cenę rodzinie nieboszczyka.

—Panie Kowalski—przyśli my tu do pana obstalować t r u n ę do naszego dziadusia. Po czemu przyjdzie tako jedno, jak ta tu?

Majster dziadusia znał, wie jakiego był wzrostu, podaje więc cenę bez wahania.

W domu stolarza na „piynterku“ dzierżawi „pomieszkanie z antrejką, jadalką i sypialką“ fotograf, który także chce żyć. I on już czeka na swój zarobek.

— Panie Grabarczyk! Pón roz już buł dać się u mnie odebrać, nu nie? Szak pón wiy, że na moich potegrafkach nawet nieboszczyk wyglóndo jak żywy. Nie dalibyście ta odebrać dziadusia, jak już bydzie w trunie ubrany? Mógłbym tyż zdjunć wyprowodz zwłok, jak ksiądz proboszcz przydzie. Mielibyście pamiuntkę na całkie życie, że dzieci po dzieciach, broń Boże oginioszka!

* * *

Nachylił się dzień ku wieczorowi. Czerwona tarcza słońca zawisła nisko nad ziemią i zwolna zapada w oszarzałą ciszę. Posnęły dzieci i gwiazdy po jednej zaczęły się wyłuskiwać w wysokościach nieba. Dalekie szczekanie psów, pomieszane z rechotem żabich kumoszek, niosło się szarym wieczorem, wróżącym noc spokojną i krzepki sen.

Gdy i światła zajaśniały już w oknach domostw, w głównej ulicy Nowego Miasta pojawiła się sylwetka pana Zabija. Okazała postać służbisty sunęła zwolna po chodniku. Granatowy mundur i opaska czapki, opuszczona na brodę miały zaświadczyć, że oto przedstawiciel władzy bezpieczeństwa — pełni swą powinność. Mogłoby się komuś wydawać czymś szczególnym, że człowiek nazwiskiem Zabij — jest uosobieniem pieczy nad sprawami ładu i sprawiedliwości. On jednak nie przejmował się wcale tą sprzecznością. Postać swoją po ulicach miasteczka obnosił z godnością, rzec by można z dostojeństwem sprawiedliwego. Rad udzielach chętnie i szczodrze, mówił wolno i wyjaśniał co trzeba akuratnie, rozkazy zwierzchników wypełniał sumiennie. Był to więc, jak się to mówi — człowiek wzorowy.

Minęła godzina dziesiąta. Stróż bezpieczeństwa i porządku, dbały o dobry sen obywateli Nowego Miasta, słysząc niepożądane o tej porze dźwięki muzyki radiowej, zbliżył się zwolna pod uchylone okno mieszkania państwa Kowalskich i założywszy ręce do tyłu, jak to się zwykle działo, gdy oznajmiał rzecz nieodwołalną, wyrzekł zwolna, patetycznie i władczo: z a m k n i j p a n t e n r a d i o n!

Innych niepotrzebnych głosów nie pochwycił. Królestwo prosiąt i królików, rozgadane pośród dnia też i kurzym wrzaskiem na podwórzu, zaiło się w oczekiwaniu na dzień jutrzejszy.

Na progu sieni, w anemicznym świetle latarni gazowej, przysiadł na twardym ogonie zawsze skory do figli i podskoków — Bukiet. Ciepła i żywa białość jego sierści, omotana nieustającym zapachem wiatru, ruchliwy koniec ogona i pracowity język, którym omiatał resztki wspomnień zakazanej uczty — świadczyły o doskonałym jego zdrowiu i zadowoleniu ze siebie.

Filuterny znak, który już nieraz psuł mu dobre i wesołe stosunki z gospodarzami, bystro zauważony przez argusowe oko policjanta, miał się stać przedmiotem jutrzejszej sensacji Nowego Miasta. Oto doniesienie o zginięciu kury będzie uzupełnione ważną obserwacją przedstawiciela władzy, szczegółem znamiennym: kurzym piórkiem na nosie Bukieta.

Janina Tokarska



HARENDA POD ZAKOPANEM
MIEJSCE WIECZNEGO SPOCZYNKU J. KASPROWICZA

łacach dzieci spędzały długie wiosenne dni. Później wiatr kwiaty zrywał, po trawnikach rozrzucał; na drzewach pozostawały zielone owoce. Przez lato słońce malowało je złotem i czerwienią. Na ziemi dynie dęły się, pęczniały, by je co prędzej przerosnąć. Jabłuszka pachnące i smaczne śmiały się z ich wysiłków.

— — — — —

Często po obiedzie zajeżdżała jednokonka na wielkich, czerwonych kołach. Dziadzia w nią wsiadał, czworo wnuków, dwa jamiczki. Jechało się w pole...

Wiosną pola były jak zeszyty szkolne, poliniowane kreskami kiełkujących zbóż. Później pokrywały się dywanami różowej koniczyny, liście buraków rozkładały się zieloną świecącą ceratą, łubin falował jak niebieskie jezioro.

Stadko kuropatw zrywając się budziło jamniczki z sennego lenistwa. Przednimi łapkami wsparte o poręcz, wyprostowane, węszyły. Gdy pokusa brała górę nad tchórzostwem — zdobywały się na skok — i zaczynały gonić na krótkich, krzywych łapkach, niezgrabnie przewracając się w bruzdach, gdy kuropatw już śladu nie było.

W podobny niepokój wpadały dzieci, gdy zdaleka dostrzegły płóg parowy. — Bo niczym wyprawa samolotem lub na karuzeli — wobec jazdy na pługu. Stoją dwie lokomotywy jak smoki, na dwóch krańcach pola. Gruba, srebrna lina je łączy. Na niej, jak olbrzymia gąsienica, sunie pług; głowę, lemieszami świecącą, w górę zadziera, worek z piaskiem na grzbiecie dźwiga. Maszynista na nim siedzi, dwoje dzieci na kolana bierze. Dalsza lokomotywa gwiżdże przeraźliwie, zaczyna ciągnąć, z klekotem linę na wielką szpulę nawija. Pod pługiem niknie złote rżysko, rozpryskuje się w c z a r n ą fontannę, rozkłada się w skibę pachnącą... Człowiek — myślą, ptak — śpiewem, kwiat — barwą, ziemia — jak kadzielnica modli się do Boga zapachem. Jesienią, gdy wszystko zamiera, pługiem rozwarta ziemia — śpiewa potęgą swych soków zapowiedź nowego życia.

Czasem pług na kamieniu podskoczy; dzieci chwytają kierowcę za ramię. — Ledwo do jednego smoka dotarli, już drugi szarpać zaczyna. Tam i z powrotem... W głowie się kręci, jakby się nie jedno pole, a całą okrągłą ziemię objeżdżało.

Inne jeszcze podróże bywały: małymi jak zabawki wagonikami woziło się buraki do cukrowni. Latem siadało się wyżej, niż na grzbiet najwyższego słonia, na wóz drabiniasty, naładowany zbożem. Kiedyś się taki wóz wywrócił — trzeba było szukać dzieci głęboko w słomie. Więcej było śmiechu, niż bólu...

Tylko na ośle nie dało się podróżować. Gdy się chciało na niego wsiąść, kładł się na ziemię i ryczał wielkim głosem. Zato biegał za dziećmi jak piesek. Lubił dziewczynki ciągnąć za włosy, udając, że skubie trawę na łące...

Dokończenie w n-rze następnym

CZESŁAW BEDNARCZYK

WIELKANOC

W skorupie twardej nowe życie,
(Grubszej o warstwy lat).
Nie wydostało się z powicia
— Nie chce go świat.

Szara i zimna, obca ziemia,
Jak bez obrusa stół.
W myślach zostały lat wspomnienia
— Odciski kół.

Pisanki barwne — krwawe plamy,
Wzory zawiłych dróg.
Kto nam odwali ciężki kamień,
— Stanie się cud?

JÓZEF KISIELEWSKI

OD SZCZECINA NA PÓŁNOC

Zawsze obrzucałem zjadliwym spojrzeniem ludzi, którzy wymieniali „najpiękniejsze okolice Polski" nie te, które są bezsprzecznie i oczywiście najpiękniejsze. Wymienia się Tatry i Podhale, Ziemię Krakowską, Puszczę Białowieską, Jeziora Agustowskie. Owszem, ujdą. Ale to wszystko, nie to. Jeszcze może bym zrobił wyjątek dla Podkarpacia, gdzieś od Ławocznego w dół, takiego Podborza, Rożniatowa, Perehińska i Osmołody, doliny Czeczwy i Łomnicy, w których bujnej i szumnej dekoracji płynęło moje dzieciństwo.



Ale wiek męski stał nieodmiennie pod nieprzezwyciężonym urokiem — Pomorza. Pomorze jest najpiękniejszą okolicą Polski. Oczywiście, nie pobijemy się o te twierdzenia ani nie wywołamy nowego przesilenia politycznego interpelacjami w Radzie Narodowej i Radzie Politycznej. Skarby sztafażu są platoniczne i nikt się o nie zbyt trudzić nie będzie, pazury zachowując na resztki skarbów prawdziwych, papierowych.

Więc ostaję na placu ze swoim twierdzeniem, że Pomorze jest najpiękniejsze. Gdyby tak to brać oddzielnie, jeden składnik po drugim, piasek, trawę, drzewa i wodę, nic by właściwie w tym nie było nadzwyczajnego. Przeciwnie, można by się nawet dopatrzeć różnych skaz: piasek jest nieurodzajny, trawa jak trawa, mniej soczysta niż pod Nowogródkiem, drzewa bardzo stare i sękate, a woda może mniej błękitna niż w Świtezi. Ale wszystko to razem wzięte, zmieszane pospołu jakąś magiczną nieodgadnioną formułą tworzy czar, który raz rzucony, trwa i trwa i nie chce się odczepić, skamląc po długich emigracyjnych nocach.

To jest tak, jak ze zwykłą ludzką miłością. Włosy zwykłe, trochę tylko przyprószone centkami złota, nos najpospolitszy na świecie, trochę może za śpiczasty, postać jak miliony innych, może nawet z jakimś leciutko rysującym się błędem, oczy może mniej niebieskie niż inne oczy. A wszystko razem wzięte, zmieszane jakąś magiczną, nieodgadnioną formułą sprawia, że ta jedna właśnie postać jest jedyną pośród milionów, od której u-roku nie odbieżysz na żadne krańce świata.

Lecz podobieństwo jest dalsze i dokładniejsze. Jak z umiłowanym człowiekiem: patrzysz na niego w różnych czasach i w różnych okolicznościach.Zawsze wydaje ci się piękny i ukochany. Ale przychodzi taka chwila, oświetlenie specjalne, gra cieni i blasków, czy jakaś inna, kiedy te wszystkie uroki nasycają się szczególnie silną esencją piękna, intensywnieją szczególną mocą. Stajesz w milczeniu i wielkim podziwie.

* * *

Dla Pomorza polskiego takim punktem specjalnym, w którym wszystkie powaby zbiegają się razem w jednej spotęgowanej intensywności — są okolice Szczecina. I to, oczywiście, te na północ. Tak, na północ. Szczecin bowiem wcale nie leży nad morzem, jest od niego oddalony o odległość z Warszawy do Łowicza. Dzieli go od Bałtyku kilka wielkich jezior i trzy dziwne (w sensie dosłownym) rzeki oraz kilka wielkich i małych wysp.

Sam Szczecin, miasto jak miasto. Stare murowane pamiątki polskie, poprzywalane zeszłowieczną secesją kamieniczną. W długich i szerokich perspektywach głównych ulic huczy tylko echem wielka przeszłość, owijając się po drodze o kilka starych, kamiennych budowli — pamiętających piastowskich książąt Szczecina, omalże nie następców Kazimierza Wielkiego na wawelskim stolcu.

Tak więc Szczecin leży po obu stronach rzeki Odry, która zaraz za nim wpada do wielkiego jeziora Dąb. Jużże to samo jezioro Dąb, zapadłe w gęste, liściaste i soczyste lasy, warte jest osobnej wzmianki. W ogóle, należy mieć w pamięci, że wszystko, co się na północ od Szczecina dzieje, odbywa się na tle gęstej zielonej, leśnej dekoracji. Drzewa są zielone, woda jest niebieska, niebo ultramarynowe lekko nakrapiane białym puchem, a piasek jest złocisto żółty. Jeśli nie jesteś malarzem albo poetą albo, najlepiej, dobrym, prostym człowiekiem, nie zapuszczaj się w te strony! Znudzisz się.

Po wypłynięciu z jeziora Dąb wjesz i błądzisz tysiącem strumieni, odnóg i prądów, obijając się bezustannie o jakieś wyspy, których nazwy zna jedynie ksiądz kanonik Kozierowski. Gdy już zaczynasz być ostro zmęczony tym szczodrym bogactwem wodnej rozmaitości, wpływasz na jeszcze jedno jezioro, które się nazywa Zatoką Stobnicką. Też jest prześliczna.

Ale najśliczniejsze dopiero się zaczyna. Zaczyna się od potężnej, a powycinanej jak koronka Zatoki Szczecińskiej, czy jak inni chcą Zalewu Szczecińskiego. Szkoda, że Niemcy przed i w czasie obu wojen światowych splugawili te wody, czyniąc z tej najbezpieczniejszej na świecie zatoki, jamę zbójecką, teren prób i przygotowań dla swych podwodnych łodzi i załóg wszelkich wojennych okrętów. Ale ani niebo ani woda niewinne są tym praktykom zbójeckim. Poznajesz to odrazu po uśmiechu, jakim cię witają, uśmiechu pełnym słońca i miłości. Nad wodami śmigają białe mewy, na wodach błyska biały żagiel. I gdy tak stajesz oczarowany, nie jesteś już zupełnie pewien, co jest skrzydłem człowieka, a co jest skrzydłem ptaka. Obydwa płyną w niebo.

Już z północnych krańców tego wielkiego jeziora, gdybyś mocno natężył słuch, może byś posłyszał szum Bałtyku. Lecz powoli, powoli. Jeszcze dwie wyspy i trzy rzeki. W bajkach nie tak łatwo bohater, zdążający na zdobycie królewny, przemaga rzucony czar.

Pierwsza rzeka licząc od zachodu nazywa się po prostu Piana. Biegnie w swoim końcowym biegu prostopadle na północ. Niemcy nie bardzo pomysłowi w kryciu swoich rabunków, przemianowali Pianę na Peene, a miejscowość Pianoujście na Peenemuende. W zatoczce tego Pianoujścia wybudowali w czasie ostatniej wojny wielkie podziemne fabryki swoich „tajnych broni", owych „V 1", „V 2" i różnych innych. Pracowało w tych, nie wypuszczających nikogo żywcem, fabrykach wielu niewolników polskich. Jeden się wydarł cudem. Doszedł do Polski, powiedział. Wysłali do Londynu kuriera. Zbombardowali wylęgarnię „tajnych broni". Ten zbieg z Pianoujścia może uratował Londyn, może więcej? Teraz albo ma pętlę sowiecką na szyi albo tuła się po świecie emigrantem bez ojczyzny.

Druga rzeka, znowu prostopadle biegnąca na północ, nazywa się, nie obrażając niczyich uszu — Świnia. Biegnąc zaś na północ odkrawa kawał lądu (który wałem oddziela Zalew Szczeciński od Bałtyku) i czyni go wyspą, między sobą a rzeką Pianą. Ta wyspa nazywa się w rdzennie staropolskim języku Uznam.

Gdybyś teraz ubrał buty olbrzyma i przeskoczył z wyspy Uznam ponad rzeką Świnią (zostawiając pod sobą w dole wielki port wojenny Świnioujście) na najbliższy wschodni kawałek lądu, znalazłbyś się na jeszcze jednej wyspie. I ta też wyspa ma staropolską nazwę, nazywa się po prostu Wołyń. Ma ona swoją nad kilkoma wsiami stolicę. Stolica nazywa się też Wołyń. W stolicy jest rynek, brukowany kocimi łbami. W r. 1934 rynek pękł przez środek. Ukazał wnętrze. Kopali, penetrowali, odgrzebali całe miasto drewniane, miasto słowiańskie z czasów Mieszka I. Sklepy, składy, domy, podwórza i pracownie rękodzielnicze. Znaleziono w naczyniach ziarnka zboża, sprzed tysiąca lat, a w pracowni szewca małe kopytka na skórzane buciki dziecięce. Oprowadzacz niemiecki, gdy zwiedzałem owe skarby, powiedział: „To są budowle praniemieckie. Powstały przed Hanzą". Myślał, że rozciął wszystko. Tylko, że słowo „hanza" też jest ukradzione i oznacza po starosłowiańsku — rozbój.

Teraz, aby się dostać na stały ląd, trzeba przekroczyć już tylko jedną rzekę. Ta rzeka (również o północnym kierunku) nazywa się Dziwna Jest też istotnie bardzo dziwna. Raz dlatego, że okolica wygląda jak uroczysko. A powtóre, że nad jej brzegiem istniał kiedyś jeden z najbardziej tajemniczych w historii grodów — legendarna Wineta, którą skandynawscy zapisywacze kronik nazywali Jomsborgiem. Długie stronnice można by o dziwach Winety pisać, naprzykład o zmyślnym mechaniźmie portowym, który za naciśnięciem sekretnych sprężyn zamykał niespodzianie port i więził wszystkie okręty, które tam się znalazły. Ale na to trzeba innej okazji.

Przypomnijmy, aby coś jednak o Winecie powiedzieć, szczegół świeższy. Gdy polscy naukowcy i dzienikarze w roku 1937 zwiedzali prace wykopaliskowe opodal Winety, w okolicach rzeki Dziwnej, uczony niemiecki powiedział:

— To wszystko, co ziemia odkrywa, wskazuje, że tu znajdujemy się od tysięcy lat. I tysiące lat będziemy siedzieli — dodał, wypinając pierś ze swastyką. A gdyśmy odchodzili, powiedział:

— Dotąd liczyło się miary historii na lata od narodzenia Chrystusa. Teraz mierzyć się będzie od przyjścia Hitlera. Zostaniemy tu wiecznie...

Mój Boże!

Józef Kisielewski

FELIKS LUBICZ

MIŃSK LITEWSKI

Stary jest Mińsk Litewski. Legenda jego powstania niknie w zamierzchłych mrokach przeszłości. Nazwę swą wywodzi od słowa „mieniac", „wymieniać"; było to miejsce wymiany handlowej.

Leży Mińsk nad Swisłoczą, na skrzyżowaniu dawnych szlaków z Kijowa ku Połockowi i Nowogrodowi, z Litwy na wschód tatarsko - moskiewski i z Polski ku Moskwie.

Tu się rozgrywały walki w XI wieku pomiędzy Rusią kijowską a księstwem Połockim. W najstarszym poemacie ruskim „Słowo o Połku Igorewie" jest wzmianka o walkach rycerzy nad rzeką Niemiiną — małym dopływem Swisłoczy, właśnie w Mińsku do niej wpadającym. Dziś rzeczka ta ujęta w niezgrabnie ocembrowane koryto, pokryta wzdłuż drewnianym pomostem, służy za jezdnię na ulicy Niemińskiej i przyległym do nym rynku.

Było tam kotłowisko sklepów i straganów żydowskich, siedziba hurtowni nafty i smarów, składów soli i śledzi oraz źródło wszelakiej tandety; no i był tam swego rodzaju „Kercelak" łobuzów i „żulików" miejskich.

W drugiej połowie ub. stulecia Mińsk Lit. stał się ważnym węzłem kolejowym linii Warszawa — Moskwa i Libawa — Wilno — Rommy na Ukrainie. Białoruska ludność kraju wywodzi się z dawnych szczepów Krywiczów i Połoczan. Ulegli oni zawładnięciu przez pogańską jeszcze Litwę, która wykazała zdumiewający talent wojskowy i organizacyjny, małymi siłami opanowując dziesięciokrotnie od niej większy kraj chrześcijański, w rządzących sferach wyższą posiadający kulturę.

Dalsze losy Mińska, to dramat dziejowy Rzeczypospolitej. Kultura polska, tolerancja religijna, poszanowanie prawa, a dla szlachty miejscowej równouprawnienie jej ze szlachtą polską, w nieznanych w owych czasach na wchodzie przywilejach demokratycznych, sprawiło, że na sejmie 1697 r. nie powstał ani jeden głos przeciwko ostatecznemu zniesieniu języka ruskiego w urzędach Wielkiego Księstwa Litewskiego. Przez wieki niosła tu Polska swą kulturę, swój język, obyczaje i tradycje, rozbudowała miasto i jego urządzenia, wzniosła liczne kościoły z renesansową katedrą na czele. Cała ludność była rzymsko - katolicka względnie unicka aż do kasaty Unii kościelnej przez Mikołaja I w r. 1839, kiedy to gwałtem zabrano unickie kościoły na cerkwie prawosławne a ludność „przepisano" na prawosławie.

Represje po powstaniu w r. 1864 dalszych dokonały gwałtów, zabierając kościoły m.in. na koszary, jak np. kościół Dominikanów, którego fotografię w stanie z 1939 roku reprodukujemy.

Jednak kraj, a z nim miasto Mińsk trwało w oporze Ukaz carski o tolerancji religijnej z 1905 roku i pierwsza po 50 latach dozwolona wizytacja pasterska arcybiskupa Szembeka wywołały masowy powrót ludności wiejskiej na łono Kościoła katolickiego. Były prawosławne parafie gdzie prawie wszyscy przeszli na katolicyzm, zwłaszcza pomiędzy Mińskiem a Słuckiem.

Mińsk Lit. był centrem zamożnego kraju o żyznej ziemi i pięknych lasach. Nie tylko ziemiaństwo, szlachta zagrodowa i służba folwarczna były polskie, lecz i znaczna część ludu przyjęła obyczaj,a często i mowę polską.

Tylko cienka powłoka administracji kraju była napływowa — rosyjska.

Mińsk według spisu ludności miasta z 1912 roku liczył:

prawosławnych	23.000
katolików	32.000
żydów	78.000
mahometan	4.000
innych	3.000
Razem	140.000

W wykazie narodowościowym prawie wszyscy katolicy byli zaliczeni jako Polacy, podczas gdy jako „ruskich" podano 23.000 prawosławnych — w większości niewątpliwie Białorusinów. Część z nich tylko stanowili urzędnicy gubernialnego zarządu z rodzinami, napływowi kolejarze rozległego węzła mińskiego i rodziny wojskowych stacjonowanych tu dwuch pułków piechoty i brygady artylerii.

Ton życia nadawali miastu Polacy. Stanowili oni, wyjąwszy Żydów, zdecydowaną większość. Diecezję katolicką skasowano w 1864 r wcielając ją do olbrzymiej archidiecezji Mohylowskiej. Po śmierci ostatniego biskupa Dederki przyległy do katedry pałacyk biskupi zabrano na rezydencję gubernatora. Kościół katedralny zachował swój splendor aż do zbezczeszczenia go i splądrowania przez bolszewików po odstąpieniu Mińska Lit. przez traktat ryski.

W renesansowym ołtarzu głównym był obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Z prawej strony w kaplicy św Floriana na ołtarzu w srebrnej trumnie znajdowały się relikwie tego świętego, ongiś z Rzymu przywiezione. Rozległy budynek plebanii z mnóstwem korytarzy, ciemnych schodów i sklepionych klasztornych pokojów, łączących się z zabytkową zakrystią, dobrze mi utkwiły w pamięci, gdy wraz z kolegami, jako uczeń pierwszej klasy gimnazjum tutaj do pierwszej przygotowywałem się spowiedzi.

Wówczas tylko w kościele można było się modlić po polsku. W szkole przed lekcjami katolicki pacierz musieliśmy czytać po rosyjsku.

Dziś w katedrze bolszewicy urządzili garaż.

Oprócz katedry czynne były kościoły: św. św. Szymona i Heleny, tuż przed I-szą wojną ufundowany przez śp. Edwarda Woyniłłowicza, długoletniego prezesa Mińskiego T-wa Rolniczego, kosztem blisko ćwierć miliona rubli. Kościół ten prostokątem swej romańskiej wieży dominował nad miastem. Ostatnio był tam „tancwalnyj zał" i kino „Komsomolec". W północnej dzielnicy za Świsłoczą stał parafialny kościół na Złotej Górce, dokoła otoczony rozległym cmentarzem. Bolszewicy urządzili w nim małokalibrową strzelnicę, używając za tarcze czaszek, ustawianych na ołtarzu, a wydobytych z grobów podczas przerabiania części cmentarza na „park kultury i wypoczynku".



KOŚCIÓŁ OO. DOMINIKANÓW

Mińsk przez pierwszą wojną był polskim miastem. Jedynie Żydzi dla schlebienia Moskali popisywali się ruszczyzną. — Wszyscy umieli jednak po polsku.



PRZEDMIEŚCIE MIŃSKA

Zdjęcie z czasów sowieckich. W tyle teatr im. Marza

Rada miejska, magistrat i jego urzędy w większości były polskie. Od czasów przedrozbiorowych aż do ostatnich chwil przed bolszewikami, prezydentami miasta byli Polacy. Nazwiska ostatnich: hr. Czapski, Rajkiewicz, Wołłowicz, Chrząstowski.

Elektrownia i wodociągi pod zarządem inż. Korzona miały personel polski lub białoruski. Adwokaci z mecenasami Witkiewiczem, Pietrusewiczem i Demideckim na czele — wszyscy Polacy. Również lekarze, za wyjątkiem paru żydów, Polacy. Towarzystwa Dobroczynności, Wzajemnych Ubezpieczeń, większe banki — polskie. Wspaniale rozwijał się „Sokół" z prezesem Jelskim i naczelnikami L. Moenke i I. Bobrowskim. Jednoczył on wszystkich od arystokracji do robotników i gimnazistów włącznie. „Ognisko" było centrem życia towarzyskiego, posiadało bogatą bibliotekę i salę teatralną. Restauracje i hotele były bądź polskie, bądź miały polską obsługę. Apteki i wiele sklepów było już w ręku polskim, a w rozbudowie miejscowego przemysłu polska inicjatywa wybiła się na plan pierwszy. Powstały garbarnie Imrotha, fabryki metalurgiczne Wortburga i Zielińskiego, Janiszewskiego.

Towarzystwo Rolnicze przez długie lata było centrum myśli i inicjatywy społecznej polskiej. Stąd wychodziła myśl polityczna, stąd wyszło odrodzenie polskiej pracy oświatowej. Powstała gęsta sieć szkół Macierzy Polskiej, a gdy rząd carski ją zamknął, objęła te funkcje „Oświata". Kiedy i ją zamknięto, polskie szkolnictwo zeszło w podziemia. Tutejsza młodzież polska ze wszystkich gimnazjów rosyjskich przez długie lata była zrzeszona w konspiracyjnych towarzystwach „Samokształcenia" i „Bratniej Pomocy".

Przed pierwszą już wojną wychodził dziennik polski „Kurjer Miński", redagowany przez Włodzimierza Dworzaczka.

Początkowo amatorski teatr z biegiem czasu przekształcił się w stały teatr dramatyczny pod reżysurą Orłowskiego.

Ta żmudna praca kulturalna, oświatowa i ekonomiczna dała imponujące rezultaty przy wyborach do dwuch kolejnych „Dum" rosyjskich. Z Mińszczyzny wybrano wszystkich jedynastu posłów Polaków. Samorząd terytorialny też miał dominujący żywioł polski.

Gdy przyszła wojna i rewolucja rosyjska, społeczeństwo mińskie zdało egzamin ofiarności materialnej i dojrzałości politycznej, a oddziały tworzącego się Wojska Polskiego uzupełniły się tysiącami ochotników z Mińszczyzny.

Pamiętam dzień 30 kwietnia 1917 roku, dzień pierwszego zjazdu delegatów wojskowych Polaków z zachodniego frontu rosyjskiego, kiedy podczas Mszy świętej w przepełnionej katedrze przed ołtarzem stanął pierwszy od napoleońskich czasów polski poczet standarowy. Zaległa niebywała cisza, coś ścisnęło piersi. Aż organy zagrały cicho „Boże coś Polskę" i zerwał się śpiew potężny, szlochem żołnierskich piersi przerywany. W trzy dni później Mińsk obchodził pierwszy raz manifestacyjnie 3-majową rocznicę.

Rosyjscy urzędnicy za głowę się chwytali, skąd to się wzięło. Szły szkoły powszechne męskie i żeńskie, szły już polskie gimnazja, stowarzyszenia, związki z „Sokołem" na czele. Przeszło dwa kilometry ciągnął się pochód.

Dziś bolszewicy nie tylko zamknęli i zbezcześcili kościoły. W robotniczej dzielnicy wybudowali teatr imienia Marxa, którego fotografię na tle zrujnowanych, znacjonalizowanych domków robotniczych załączamy. Człowiek — najtańszy przedmiot w Sowietach — może mieszkać w rozwalonej ruderze, byle teatr stał.

Delegacja nasza w Rydze, delegacja kraju zwycięskiego w dniu 18 marca 1921 roku małodusznie podpisała oddanie Mińszczyzny Rosji Sowieckiej. Blisko dwa miliony Polaków wydano na pastwę bolszewików, marnując wielowiekowy dorobek polskiej kultury i cywilizacji łacińskiej.

W Kołosowie pod Stołbcami na granicy po bolszewickiej stronie, stanęła brama piekielna z napisem „priwiet rabočym zapada". Za nią Katyń, Sybir, Kołyma...

Feliks Lubicz

MIASTO SNÓW

Ten drogi Lwów,
To miasto snów...
(Z piosenki)

Cztery Lwowy żyją w mej pamięci. Jeden, przez mgłę dzieciństwa widziany, jest Lwowem z pamiętnych dni Obrony Lwowa, w listopadzie 1918 roku. Dziecinna bojaźń zmieszana z podnieceniem, radość w dniu przybycia odsieczy, oto co utkwiło w pamięci. A potem widziane z szeroko otwartymi oczyma rany zadane budynkom i kościołom i pierwsze krople sentymentu do Zawsze Wiernego Miasta wsączane do duszy dziecięcej przez ojca — obrońcę Miasta.

Niedługo później z zapartym tchem Lwów oczekiwał wieści z pola bitwy nowych Termopil — Zadwórza, gdzie 318 synów grodu było ostatnią zaporą przed zalewem hord Budiennego. A miasto przypominało wówczas inną scenę z starożytnej Grecji — Ateny oczekujące losu bitwy maratońskiej.

Dziś już nie pamiętam, jak pulsowało serce miasta w 1920 roku. Jednego pewien jestem, że matki lwowskie ze stoickim spokojem przygotowywały się na ujrzenie swych synów prędzej na tarczy, niż bez niej.

Drugim Lwowem był Lwów pokoju-śmiechu, pieśni, radości, Lwów szczęśliwy. Lwów w dnie słoneczne, na Wysokim Zamku czy Pohulance, gdzie królował humor lwowskiego batiara a panny były „słodziutkie jak mniód". Lwów opiewany przez swych licznych bardów w poezji i piosenkach, śpiewanych przez całą Polskę. Lwów kościołów dostojnych i nierozłącznych z krajobrazem miasta, jak ratusz czy kopiec Unii Lubelskiej. Tu wieża Bernardynów, tu Dominikanie, tu tu zaś katedry rzymsko-katolicka i ormiańska, tam zaś bania cerkwi św. Jura. W wieczory letnie rozśpiewane dzwony głosiły harmonijnie szczęście ludzi wielu wyznań, tworzących ludność Lwiego Grodu.

Takim był drugi mój Lwów, do dnia, kiedy pierwsze bomby spadły w okolicach dworca głównego w pierwszy dzień wojny. Miasto przeobraziło się natychmiast w obóz warowny. W niespełna dwa tygodnie później kolumny niemieckie usiłowały wtargnąć do wnętrza miasta. Spotkały się z lwowską odprawą, doświadczoną już w przeciągu wieków przez Tatarów, Turków, Kozaków, Ukraińców i Rosjan. Jak po deszczu wyrosły barykady, powstały ochotnicze oddziały. Lwowa Niemcy nie wzięli. Do Virtuti Militari, zdobytego przez miasto przed 20 laty, przybyły nowe laury. Do zabliźnionych ran na pomnikach, kościołach i domach przybyły nowe — okrutne i liczne. Lwów nie ugiął się.

Czwarty obraz mego miasta wsiąż trwa. W ponure dnie jesienne wkroczyli do miasta barbarzyńcy, nowocześni jeźdźcy Attyli. Duch, humor, dusza Lwowa zeszła w podziemia. Rozpoczęły się rozpaczliwe czasy powolnego zabijania grodu. Lwów przeznaczony został na wynarodowienie, na wyniszczenie wszystkiego czym był. Lecz Lwów żyje. W sercu każdego Lwowianina jest dalekim celem duchowej pielgrzymki. Walka o miasto trwa i nadzieja żyje w sercach synów Leopolis Semper Fidelis.

Twierdzą nam będzie każdy próg,
Tak nam dopomóż Bóg!

Tadeusz Ziarski

MARYNA CHWALIBÓG

ŁĄCKO

„Wisi na Krzyżu Pan, Stwórca Nieba"... Przez otwarte okno pstrej, jak pisanka wielkanocna, szpitalnej kaplicy w Penley wpada snop promieni wiosennego słońca. Tragiczne tony starej pieśni wielkopostnej biją w niski strop. Gdy pieśń ucichnie, zza okna ptaszkowie, śpiewacy boży wiodą swój hymn o Bożej miłości. Wokoło twarze znane tak dobrze, spotykane co dnia. Wielka sterta palm polskich, palm z wierzbowych gałązek, angielską modą przybranych krzyżem z tataraku.

Ale oczy nie widzą ani tych ludzi, ani tych polsko-angielskich symbolów Palmowej Niedzieli. Oczy zamykają się same. Serce wspomnieniem chwyta tę samą pieśń, te same słowa śpiewanej mszy uroczystej. I widzą, widzą inny kościół, kościół swego dzieciństwa i młodości, szczęśliwych dunajcowych lat. Ogromny, ciężki, stary. Kościół w Łącku. Fundowała go królowa Sonka, żona Jagiełły. Wielki ołtarz płonie w blasku świec, wioskową modą przystrojonych w papierowe kwiaty. Tylko, że na post, pokutne one, liliowe i białe. Od ruchu światła zdają się ożywiać, wiele ponad naturalną wielkość wzniesione statuy Św. Piotra z kluczem i Św. Pawła z wielkim mieczem w ręku. A w górze ukochany i jakże serdecznie znany obraz Matki Boskiej Łaskawej. Mądre oczy w ciemnej, częstochowskiej oprawie twarzy, patrzą z wysoka na tłum kościelny najłaskawiej.

Jakże nie mają patrzeć z uśmiechem, na te przepełnione nawy, kiedy pod naporem wiernych aż trzeszczą dębowe balaski. Bo przecież w Palmową Niedzielę każdy wyrostek chce być jaknajbliżej Jej świętych oczu. I kościół dziś nie ten sam jak zwykle. Ludzkie głowy giną, ludzie są nieważni. Wszystkie nawy wypełniają najpiękniejsze w świecie palmy. Wysokie, wyniosłe, smukłe i giętkie w ciągłym ruchu falującego powietrza.

Marzył o tej chwili każdy z chłopaków już od tygodnia. Wypatrywał najpiękniejsze, srebrzyste baźki wierzbowe, owijał nimi misternie pręt leszczynowy, wysoki i gibki, kitą szuwarów błyszczących przystrajał wierzchołek — przyozdabiał misternymi kwiatami z bibuły, wstążkami obwieszał u wierzchu, tak że powstawała prześliczna, bogata, wysoka, strzelista i giętka.

Szeleszczą te palmy, drgają, jedna przed drugą pyszni się swoją urodą, ale przecież nie dla osobistej chwały, ale na uczczenie cierpiącego Jezusa. Gdy zadźwięczą srebrzyste dzwonki Podniesienia, myślisz, że to nie kościół, ale las cały młody, bujny i bogaty przystroił się odświętnie i raz do roku, w Bożej Świątyni swój korny pokłon składa. A kiedy naród runie do wyjścia, to ten las rozkoszny otoczy kościół dokoła i kilkoma rzekami rozpływać się zaczyna w różne strony.

Już nie tak spokojnie, bo oto chłopaczyska nie tylko starają się sobie nawzajem wyniosłą palmę uszkodzić, ale kiedy mu się jakaś dziewczyna „uwidzi", kiedy skromnie ze swą babską, mizerną rózgą z wierzbowych „kotków" do domu zmierza, to ją tą święconą palmą przez plecy przejedzie. Pogniewać się nie może, bo palma święcona. A przy tym słyszy



Kościół Łącki

obrzędowe słowa: „Palma bije, nie ja biję. Za sześć dzień Wielki Dzień, za sześć noc Wielka Noc". Potem coraz cieńszymi strumyczkami rozpłyną się palmy po dróżkach, po miedzach, między zieleniące oziminy, w kryształowym powietrzu, wśród skowronkowej pieśni, by wreszcie do rodzonej chaty zawitać.

Rozwiną ją wtedy pieczołowite ręce. Święcone witki rozdzielą. Jedne pójdą do izby za obraz święcony. Inne gazda zwiąże misternie (znak krzyża na wysokim pręcie) i popołudniu z gosposią na swoje pole wyniesie. Wbije ten znak święcony w pszeniczkę lub żyto, by je od gradu ochronił. Jeszcze inne do obory zaniosą, zawieszą nad progiem, by w chwili wypędzania bydła pierwszy raz na paszę uderzeniem święconą witką zabezpieczyć od chorób, czy złych oczu.

Od radości i tęczowych blasków Niedzieli Palmowej Wielki Tydzień snuje się cichy i smutny. Nie słychać śpiewu koło chałup, tylko roboty więcej, myje się, bieli. Bieli się domy, bieli się jabłonie w sadzie. Potem pieczenie się zaczyna. I choć wieczory już ciepłe i miesięczne noce, młodzież się na przełazkach wieczorami nie zbiera, nie słychać namiętnością zduszonego śmiechu, bo zaraz by zgorszona gosposia rozpędziła młodź słowami: „Ej, zgraja, przez obrazy boskiej, bo post".

Wielki Piątek przenikał największym smutkiem i skupieniem. Post obowiązywał surowy. Nie jadano nic, poza suchym chlebem, kiszoną kapustą, pieczonymi ziemniakami. A wielu suszyło solennie.

Rano kościół pełniutki, łzy smutku i współczucia płyną z góralskich oczu nad tym widomym poniżeniem Syna Bożego. Bo nie tylko, że Go Żydzi umęczyli, ale i w tym łąckim kościele, na krzyżu swoim nagutki, na zimnej podłodze leży. Niechże Go choć świeczki ogrzeją. To też każda adorująca chrześcijańska dusza bodaj jedną świeczkę koło umęczonych nóg postawi. Do skarbonki grosze się sypią. A w sercu miłość pęcznieje i litość najgłębsza.

Po południu wszystkie trzy części Gorzkich Żalów się śpiewa. Nocą zaś nie zostawiają górale Jezusa samego. Tego w Hostii Świętej ani Jego wizerunku leżącego na ziemi. Adoracja trwa całą noc. Przy grobie straż honorowa. Najświarniejsze chłopaki ze straży pożarnej, Strzelca czy Koła Młodzieży. Klęczące postacie w adoracji Ran Chrystusa przesuwają się na kolanach nieprzerwanym łańcuchem. Płyną pieśni żałobne, proste i patetyczne w swej prostocie: „Rozmyślajmy dziś wierni chrześcijanie".

Wielka Sobota mimo żałoby w kościele niesie już przecie pewność największej serca chrześcijańskiego radości. Już dzwony zadźwięczały na Glorię. Już wsie wszystkie jadło do święcenia niosą. Chłopaczyska nie mogą się doczekać święcenia ognia. Chwycą ten ogieniek święcony na hubę suszoną położą i pędzą biegiem do domów. Ale każda stara wierzba po drodze zatrzyma ich w pędzie. Podpalają w nich dziuple, bo przecież święcony ogień krzywdy nie czyni.

W domostwie okadzą dom i stajnie dookoła. Kijaszkiem stukają w ściany domu i wołają: „Kazali wam do gromady. Komu? Wszystkiej gadzie, co jest w domu". „Gada", to wszelkie robactwo: pchły, pluskwy, prusaki. Ucieknie to wszystko od świętego dymu i na zawsze z domu się wyniesie.

Na szóstą wieczorem, kto żyw śpieszy do kościoła na Zmartwychwstanie. Wystrojony, czekający niecierpliwie i tego Zmartwychwstania Bożego, no i końca postu, od którego prawie mdlić zaczyna. Nie pomieści szeroki kościół całej parafii. Cmentarz kościelny wypełniony. Do środka nie dojdziesz, bo tłok. Jeszcze żałobne pienia psalmów dochodzą z wnętrza. Ale wnet rozruch się robi. Dzwon radośnie uderzy. Sypnie się lud z kościoła. Już krzyż drewniany, stułą czerwoną przewiązany, procesję zaczyna. Bractwo Różańcowe w czerwonych kołnierzach i białych komeżkach ze świecami w ręku. Chorągwie łopocą na wietrze. Dziewuchy w gorsetach, spodnicach kraciastych, strojne jak królowe, w mirtowych wianeczkach na głowie, wynoszą figury święte. Świece, kadzidło, dzwonki. Wreszcie złocisty baldachim, a pod nim przez najgodniejszych w parafii prowadzony ksiądz z Najświętszą Tajemnicą. I wspaniała, porażająca radością serce zwycięska pieśń „Wesoły nam dziś dzień nastał".

Czy nam jeszcze nastanie wśród najbliższych, najdroższych stron i ludzi?...

Maryna Chwalibóg

TADEUSZ WITTLIN

U JĘDRUSIA

O Zakopanem napisano już tomy. Tetmajer, Żeromski, Orkan, Daniłowski Witkiewicz, Makuszyński — najlepsi polscy pisarze ulegali czarowi tego miejsca, zaklinając w słowa jego przedziwny urok. Nie znaczy to przecież, że napisano już wszystko.

Bo Zakopane jest jak miłość, o której pisze się zawsze i o której może pisać każdy. Zakopane było niezwykle różnorodne, wszechstronne i bardziej, niżli jakakolwiek inna miejscowość posiadało zmienne oblicze. Bynajmniej nie chodzi o wygląd zewnętrzny. Wcale nie chodzi o to, że przecudna lesista „Droga do Białego" została tuż przed wojną wyrąbana i zmieniona w willowo-pensjonatową dzielnicę, a barwne stroje ludowe górali stawały się niemal wyłącznie liberią miejscowych dorożkarzy. Albowiem zakopiański góral ubierał się ostatnio w niedzielę do kościoła, zamiast jak dawniej w kożuch wywrócony włosem nawierzch, w pomidorowy lub buraczkowy krzyczący pulower, a miast skórzanych kierpców wkładał białe gumowe pantofle „pepege". Młoda góralka stroiła się ostatnimi czasy niczym miastowa panna służąca w jakiś źle skrojony kostium granatowy lub „bordowy", w rękawiczki i torebkę, ściskając w ręku zmiętą kulkę chustki do nosa. Chłopcy nosili mundury Strzelca, Sokoła lub Przysposobienia Wojskowego.

Te wszystkie przemiany bynajmiej nie zmieniały charakteru Zakopanego, podobnie jak w niczym nie zmieniała go kolejka linowa na Kasprowy — i tramwaj na Gubałówkę, jak nie wypaczyłoby go jeszcze kilkanaście dancingów i kasyno, które tak koniecznie chciał wybudować Kornel Makuszyński.

Zakopane mieniło się jedynie swoją wielokrotnością. Było królestwem taterników i punktem wyjściowym narciarzy. Letniskiem statecznych rodzin mieszczańskich i celem poślubnych podróży młodych małżeństw. Ustroniem zakochanych, uzdrowiskiem gruźlików i neurasteników, egzotyką zagranicznych turystów, urlopem urzędników państwowych, postojem automobilistów, zjazdem zubożałych arystokratów i bogatych snobów oraz rzeczpospolitą poetów, malarzy, muzyków, literatów i aktorów. I dlatego, że nie było tam ogólnego pomieszania tych wszystkich warstw społecznych i kulturalnych, lecz że każda z nich stanowiła niejako oddzielny klan, Zakopane było tak odrębne od innych stolic całego świata.

Sportowcy, nie ci, przebrani jedynie do fotografii, lecz prawdziwi taternicy gardząc (zresztą zupełnie słusznie) zalegającymi Krupówki ceprami, co prędzej uciekali w góry. Prowincjonalni dygnitarze z Grajdołków tworzyli tutaj odseparowany od wszystkich i wszystkiego a zacofany swój osobisty partykularz. W nowoczesnym hotelu Stamary pokój kosztował aż trzydzieści złotych dziennie. Na leżakach w cieniu drzew drewnianych werand taniutkich pensjonatów suchotnicy wycierali spocone dłonie i mierzyli temperaturę. W kawiarni Trzaski wieczorem nie można było znaleźć wolnego stolika. Ubogo, lecz wesoło było w kolonii akademików na Kasprusiu. Tak tam było wesoło i gwarno, że gazda, który lekkomyślnie wynajął im swoje trzy chałupy zgóry na cały sezon, wkrótce wywiesił na płocie kartkę tej treści: „Tu wolnych pokojów do wynajęcia nie ma i nigdy nie będzie, tak mi dobry Panie Jezu i Przenajświętsza Panienka dopomóżcie".

Osobną, wielką, zamkniętą dla niewtajemniczonych klikę stanowili artyści. Przy małej uliczce wiodącej na rynek, w dwupokoikowym barze „U Jędrusia" zbierali się Witkiewicz, Malczewski, Makuszyński, Czermański, Lechoń, Wierzyński i tylu innych... Markowski śpiewał tu góralskie piosenki, Grabowski opowiadał o swych wyczynach taterniczych historie prawdziwe lub zmyślone, ale zawsze świetne i dowcipne. Tutaj rodziły się wspaniałe pomysły literackie i padały najdowcipniejsze powiedzonka. Światopełk Karpiński przechwalając się powiedział tu kiedyś:

— Ledwie wysiadłem z pociągu, a patrzę w oknie „Ruchu" leży moja książka: „Ściana śmiechu". To się nazywa popularność, prawda?

— Nic wielkiego! — odparł na to Uniłowski. — Moje „Żyto w dżungli" leży już tutaj na wystawie w księgarni pięć miesięcy i też nikt go nie chce kupić.

Dzisiaj Karpiński, Uniłowski, Szymanowski, Dołęga-Mostowicz, Witkiewicz odeszli w zaświaty. W czasie wojny w barze „U Jędrusia" pili piwo Niemcy. Z Rynku zdjęto pomnik Kościuszki. Później po wojnie i po Jałcie Zakopane stało się „strefą zakazaną", gdyż tędy ludzie uciekali na Węgry, by stamtąd dalej przedrzeć się na wolność, a oddziały wojska pacyfikowały chłopców, ukrytych w lasach. Dziś, zdawałoby się, jest spokój, lecz górale zakopiańscy posiadają piękną legendę o rycerzach uśpionych w Giewoncie, którzy, gdy nadejdzie właściwa pora, zbudzą się.

Tadeusz Wittlin.

KAZIMIERZ PRZERWA TETMAJER

POZDROWIENIE

Sponad wiślanych leci fal
Wiosenny, chłodny wiatr,
Leci ku mojej ziemi w dal,
Ku śnieżnym szczytom Tatr.

Wichrze! nad wzgórza, pola nieś
Me pozdrowienie stąd,
Rodzinną moją pozdrów wieś
I Dunajcowy prąd.

Przydrożne wierzby, smreków las,
W ogródkach każdy kwiat
I wszystkie łąki pozdrów wraz
I ludzi z wszystkich chat.

I do tych śnieżnych skał się zwróć,
Ku stawom, halom gnaj
I pozdrów mi po tysiąckroć
Mój cały górski kraj.

Kazimierz Tetmajer

S. FIDELIS (HOLANDIA)

KATARZYNKA

Pisano kiedyś tam, w którejś gazecie,
Jaka najmniejsza jest wioska na świecie.
Gdzie? Nie pamiętam, cóż mnie to obchodzi?
Przecież jest taka wioska blisko Łodzi,
Że mniejsza od niej chyba być nie może.
Czy ją znam? Pewno, jeszcze jak, mój Boże!
I kocham więcej, niźli każdą inną,
Bo to najdroższa — ma wioska rodzinna.
Czy wiecie, jak się zwała ta kruszynka?
Nie, nikt nie zgadnie, oto: Katarzynka.

Aż trzy zagrody liczy ta wioszczyna!
Łączy je polna, wąziutka drożyna.
Bielone chaty drzewa zdobią wkoło;
Tam krocie ptaków śpiewają wesoło.
Na polach grusze rozsiadły się polne.
Pola od jednej strony tylko wolne:
Od dwóch zamknięte innymi wioskami,
Czwarta odcięta leśnymi wzgórkami.
Trzy się na łąkach stadka bydła pasą,
Trzy pługi ziemię w długie skiby znaczą.
Od rannej zorzy, aż do późnej pory,
Z pola czy z domu, z podwórza, z obory
Wciąż słychać głosy i zwierząt i ludzi;
Każdy się krząta i każdy się trudzi;
I w całej wiosce, jak w jednej rodzinie,
Wszyscy się słyszą i wszyscy rozumią.
Wieczorem w oknach światełka migają,
Rzekłbyś: trzy chaty do siebie mrugają;
Aż nocka ciemna, w swej tajemnej ciszy,
Wszystkich i wszystko do snu ukołysze.
Nocą się światła fosforyczne gonią;
Wtedy się ludzie znakiem krzyża bronią,
Bo chodzą wśród nich takie dziwne słuchy,
Że to pokutę czynią zmarłych duchy.

Ale w majową noc bywa inaczej,
Nikt żywej duszy w domu nie zobaczy.
Przy końcu drogi, tuż na kraju wioski,
Stoi kaplica stara — Matki Boskiej;
Tam się i starzy i młodzi zbierają,
Litanię mówią i pieśni śpiewają,
A echo niesie zbożnych ludzi głosy
Przez pola, lasy, do gwiezdnych niebiosów.

Od tej kapliczki biegnie ku lasowi
Aleja, pełna starych drzew lipowych.
Skąd się tu wzięła i kto ją posadził —
Nie wiem, odgadnąć próżno byś się biedził.
Mówi podanie, że kiedyś w tych stronach
Drużbickich rodu istniały fortuny
(Bo o nich nawet historia wspomina,
Tym mianem dalsza wioska się nazywa).

Aleja dobrze znana jest młodzieży,
Która do lasu w wolnych chwilach bieży
Zbierać jagody, grzyby i maliny,
Orzechy polne i czarne jeżyny.

Dniem upragnionym zawsze jest niedziela,
Pełna radości, wytchnienia, wesela.
Rankiem się wszyscy do kościoła śpieszą,
A po południu bawią się i cieszą:
Młodzi rozrywką, starzy pogawędką.
(Czas ulatuje tak miło, tak prędko).

Tak było dawniej. Aż nadeszła wojna
I mała wioska, szczęśliwa, spokojna,
Przeżyła piekło nieszczęść i goryczy
Z rąk sług szatana, spuszczonych ze smyczy.
Ot, pewnej nocy zimowej nad ranem
Zbudził mieszkańców biednych, przerażonych
Stek klątw ohydnych, kolby i bagnety.
Czas — dziesięć minut. Dzieci i kobiety,
Mężczyźni, wszyscy zabrani w nieznane
Na dolę straszną, dolę opłakaną...
Dnia następnego przyszli ludzie nowi,
Odmiennej duszy i odmiennej mowy,
Jako złodzieje podli, bez sumienia,
Wzięli bezwstydnie ojców naszych mienie.

Pamiętam, kiedyś, jako chłopiec młody,
Lubiałem patrzeć na słońca zachody,
Marzyć i dumać. Gra świateł i cieni,
Kształty, kolory w obłokach się mienią,
Cuda stwarzają. Wówczas wiele razy
Dziwne na niebie widziałem obrazy:
Góry i szczyty śniegami pokryte,
Wysokie, groźne i niesamowite.
Po wielu latach ujrzałem je znowu
Z okien baraków strasznych obozowych:
Były to Alpy — te z wizji dziecińtwa.
I w chwilach ciężkich niewoli męczeństwa
Widok ich wzbudzał przemożne tęsknoty
W sercu, dodawał męstwa i ochoty,
By przetrwać, przeżyć, by ujrzeć tę znaną,
Najmniejszą, w świecie, mą wioskę kochaną.

S. Fidelis

CZARYŻ

Czaryż leży w Kieleckim. Aby dostać się do niego, należy wysiąść z pociągu w Żelisławicach, które znajdują się na linii Częstochowa—Kielce. Stamtąd już, idąc przez Secemin, jest do Czaryża jakie osiem kilometrów.

Położony on jest w szerokiej dolinie między dwoma łagodnymi wzgórzami, jest mały — jakie piętnaście gospodarstw; biedny, jak prawie każda wieś, co znajduje się pod bokiem majątku.

Czaryż leży wzdłuż drogi, która wiedzie z Radkowa do Secemina. Tę drogę tuż obok dworu przecina druga, wiodąca od Szczekocin do Włoszczowej.

Wieś jest biedna, każde gospodarstwo ma jakie dwie krowy i cielaka, kilka prosiaków, stado wszelakiej gadziny, na którą składają się kury, kaczki i gęsi. Koni Czaryżanie posiadają mało, bo i po co, przecież mają ziemi niewiele. By wyżyć, pomagają sobie w różny sposób — kobiety robią płótno i zapaski, sprzedają je później na jarmarku lub też na miejscu kupuje się tkaniny Josek, co mieszka ze swoją dużą rodziną w Czaryżu. Mężczyźni zajmują się przeważnie stolarstwem, jest także aż coś trzech szewców. Jeden z gospodarzy zajmuje się potrochu „mechaniką" reperuje rowery i zegarki a od czasu do czasu, wyrywa także zęby — po złotówce od sztuki. Inny jeszcze trzyma byka, inny znów ogiera, jednym słowem radzą sobie, jak mogą. Pracują także podczas zimy w gorzelni, której czerwony komin góruje nad wsią. Gorzelnia ta należy do dworu.

Dwór jest biały, dwupiętrowy, pokryty lśniącą w słońcu cynkową blachą i znajduje się w dużym starym parku. Ten park jest piękny, rosną w nim wielkie lipy, wiązy i kasztany, oczywiście nie brak alei grabowej, są także smukłe świerki, zaś kort tenisowy okalają srebrne jesiony, a nad to wszystko wyrasta kilka olbrzymich rudawych modrzewi. Część parku ma podszycie z dzikich bzów, leszczyn i jeżyn — jest tam na dodatek jeszcze masa pokrzyw — w tym gąszczu żyją bażanty.

Zabudowania dworskie są obszerne, składają się na nie wspomniana już gorzelnia, stodoły, stajnie, obory, śpichlerze, cieplarnie oraz czworaki dla służby. Po środku tych zabudowań, zwłaszcza w pobliżu obór i stajen, panuje cały rok błoto, zresztą nie brakuje go także obok czworaków.

— — — — — —

Na wschód od wsi, za dworem, są mokradła i niedużу las zwany przez Czaryżan Borkami. Borki leżą na piaszczystych pagórkach, z których wyrastają sosny o pokracznych kształtach, gdzie niegdzie przeplatane białą brzozą. Pośrodku Borek znajdują się mokradła oraz malutkie bajorko, prawie całkowicie zarosłe trzciną i innym zielskiem. Wokół bajorka zgromadziły się olchy i parę wierzb. Ten zakątek jest rajem dla komarów. — Wschodnia część Borek pokryta jest dębami i świerkowym zagajnikiem. Grzybów tam mnóstwo — zwłaszcza rydzy — więc Czaryżanie starannie unikając gajowego, przychodzą ze swymi kobiałkami, by je zbierać. Za Borkami widać torfowiska, ciągnące się do Dzierzgowa, który jest parafią dla Czaryża — w drodze do kościoła przejeżdża się jeszcze inną wieś, co zwie się Bieganów. Na torfowiskach tych roi się od czajek, przylatujących tutaj wczesną wiosną, za nim śnieg zdąży całkowicie stopnieć.

Na południe od Czaryża leżą łąki dworskie i poręba, będąca miłym miejscem dla dzieci, gdyż w lato jest tam zawsze pełno jeżyn. Przez łąki płynie pomału strumień, który jedni zwią Wyrsiennikiem a drudzy Wyśrednikiem. Wpada on o kilka kilometrów dalej — obok Dzierzgowa — do Nidy. Za łąkami poziom się podnosi i widnokrąg tworzy pokryte polami wzgórze. Prawą stroną wzgórza schodzi w dół wieś — Wola Czaryska. W tej okolicy wsi nie brak. Jest ona duża i zamożna, do niej Czaryżanie wysyłają swe dzieci do szkoły oraz mleko do mleczarni. Dumą Woli jest jej ochotnicza straż pożarna.

Na zachód od Czaryża znajduje się las, znany dobrze wszystkim z pobliskich wiosek ze swych jagód i borówek, a na północ leżą piaszczyste pólka chłopskie, zaś trochę bardziej na północny-wschód, duże połacie żyznej ziemi należącej do majątku. Za tymi polami widać las, którym można dojść hen do Włoszczowej.

Radostowa

JERZY DOŁĘGA-KOWALEWSKI

MIASTECZKO

Nie pytajcie mnie, mili moi,
Ile liczy dymów i dusz,
Czy wystrzela rzędem topoli,
Czy przyklękło kępami grusz.

Może zwie się Sztum albo Piła,
Bieniakonie, Grójec lub Roś.
Dość, że serce w nim uwięziłem,
Jak i auto. W rynku. Po oś.

Gdy się kocha, nie trzeba wiedzieć,
Kto był papo, a mama skąd.
Znam cię w półśnie, półszczęściu, biedzie,
W kurzu drogi, w zieleni grząd.

Znam cię w ciszy, w wozów pogwarku,
W Kryście czarnym z kościelnych bram.
Znam z odpustów, wesel, jarmarków,
Z mej i twojej młodości znam.

Aż się w jeden skrzepł fotomontaż,
W bryłę złota, w świecący stop
Szum topoli z dziurami gontów,
Ratusz, zajazd, i żyd i chłop.

Cóż tam martwe? Przecie nie cmentarz —
Sąsiad dobry, gospodarz cny.
I nie kościół, w zapachach mięty
Kołyszący niebieskie sny.

Ani pole. Nic go nie zmieni,
Ani ludzie — przyziemny gąszcz.
Zabierają drzewa jesienią
Liściom starym wiosenny miąższ.

Ktoś zapala lampę zgaszoną,
Ktoś na nowo otwiera drzwi.
Ktoś odpowie znów: — Pochwalony,
Zmartwychwstały z błota i krwi.

— — — — — —

Nie troskajcie się, moi mili,
Tropić owej nauki ślad.

Przy rogatce w Grójcu czy Pile
Zakurzyło. Naszeptał wiatr.



OD REDAKCJI

Nasz wielkanocny numer posiada objętość podwójną i kosztuje 6 pensów. Numer zdobił artysta grafik STANISŁAW GLIWA.

Następny numer pojawi się normalnie w sprzedaży w tygodniu poświątecznym.

Numer wielkanocny poświęcony jest Zmartwychwstaniu Pańskiemu oraz prowincji polskiej. Wydaje się nam, że radość nasza ze Zmartwychwstania Pana pełniejsza będzie z obrazem Polski w duszy, z obrazem Rezurekcji w naszych własnych wsiach, miasteczkach i miastach.

Patronuje tej zbiorowej pochwale i przypomnieniu Kraju Adam Mickiewicz i najpiękniejszy poemat napisany w mowie polskiej — „Pan Tadeusz". Jest to bowiem nie tylko poemat tęsknoty, ale i największy nasz poemat prowincjonalny, dzielnicowy. Przeczytajcie uważnie „Epilog" a łatwo dostrzeżecie w nim sezam skarbów językowych prowincji litewskiej. „O tym-że dumać na paryskim bruku..." — o treści dwunastu ksiąg poematu, który dziś znowu ocieka najświeższą krwią narodu.

Numer dzisiejszy częściowo zawdzięcza swoją treść żniwu konkursu na opis miejscowości rodzinnej, rozpisanego przez „Gazetę".

Nadesłano na ten konkurs kilkadziesiąt prac, przyczem większość z nich poświęcona była wielkim stołecznym miastom — Wilnu, Lwowu, Warszawie. Nam zaś raczej chodziło o małe miasteczka prowincjonalne, bo stolice mają swoją wielką i bogatą literaturę. Prac o prowincji wpłynęło kilkanaście.

Nagradzamy i drukujemy następujące prace: S. Fidelisa z Hengelo (Holandia) poemat pt. „Katarzynka", opisy: Czaryż" — Radostowej (Holandia), „Wołów" — Zofii Jankowskiej (136 St. Helen's Rd., Bolton, Lancs), „Święcianka" — Władysława Kuleszy (Sibson Samp, Wansford, nr. Peterborough) o r a z „Miasto snów" — Tadeusza Ziarskiego (Chartell Hostel, Duns, Berwickshire). Niektóre z nich drukowane będą w dalszych numerach. Autorki opisów Czaryża i Wołowa nadesłały również piękne rysunki swych wiosek, niestety technika rysunków nie pozwoliła ich reprodukować.

Niestety „Gazeta Niedzielna" nawet w podwójnej objętości ma granice łamów i stron. Sporą część materiału przeznaczonego do numeru wielkanocnego musieliśmy wobec tego odłożyć do dalszych numerów. Przepraszamy za to przede wszystkim Szanownych Autorów.

W najbliższych numerach „Gazety" ukażą się odstawione w ten sposób m.in. następujące niezmiernie ciekawe artykuły: Wielkanoc w Ziemi Świętej — Celiny Tarnawskiej Buszyny, „Spory o baldachim i złote ostrogi" — Petera W. (Britannica), „Varmia Sancta" — Augustyna Steffena, artykuł „Z polskiego punktu widzenia", liczne kroniki lokalne oraz „Spacerek po Londynie", w którym zebrało się mnóstwo pasjonujących tematów.

Zwracamy uwagę Czytelników, iż zaczął się tzw. London season z mnóstwem interesujących imprez, którym pragniemy poświęcić nieco uwagi. Pierwszą z nich — „Paradę wielkanocną" opisuje p. Jerzy Lambor.

W jednym z najbliższych numerów wznowimy dyskusję o poprawności i czystości języka polskiego. Posiadamy w tece wiele materiału na temat powyższy, przy czym głos zabierają również znani lingwiści i pisarze.

„Życie" obchodzić będzie w maju trzylecie swego istnienia i wyda na tę rocznicę specjalny numer. W jednym z najbliższych numerów „Życie" rozpocznie druk nowej znakomitej powieści Zofii Kossak pt. „Przymierze".

W dniu 6 kwietnia zbiera się Jury Katolickich Nagród Literackich. W następnym numerze ogłosimy szczegóły składki na nagrody. Składki te trwają i spodziewamy się, że żaden z Czytelników „Gazety Niedzielnej" nie uchyli się od złożenia choćby kilku pensów.

Wdzięczni będziemy wreszcie Czytelnikom za uwagi na temat niniejszego numeru oraz za rady i wskazówki, jak powinniśmy redagować „Gazetę", aby mogła się ona stać powszechną potrzebą serc polskich na obczyźnie.



CZY PAMIĘTASZ o KATOLICKICH NAGRODACH LITERACKICH?

SŁAWA GRÓJCA

W Warszawie, w centrum miasta, w kulturalnym domu lub w kawiarni można się było czasem dowiedzieć, że Grójec to miejsce urodzenia księdza Skargi. Nie wiele ponad tę informację dało się usłyszeć o tym historycznym grodzie, położonym o 45 km od Głównej Poczty.

Na Mokotowie już tylko tyle o nim wiedziano, że chodzi tam kolejka przez Piaseczno, a na Ochocie — że można się tam dostać rozklekotanym autobusem przez Raszyn i Tarczyn. — O księdzu Skardze nikt tu nie słyszał.

Informacje i wyobrażenia o Grójcu bardzo się zmieniały, w miarę zmniejszania się odległości. W najbliższych Wolach i Wólkach Grójec już nie był miastem księdza Skargi, lecz miastem Joska Altera i braci Zylbersztajnów. —Bardzo się o to gniewał ksiądz dziekan Wieczorek, proboszcz grójecki, w którego brzydkim, lecz historycznym kościele była wmurowana tablica, sławiąca pamięć proroczego kaznodziei.

Jeżeli brzydki, bez wyrazu i architektonicznego charakteru, kościół był najpiękniejszą budowlą tego miasta powiatowego, to łatwo sobie wyobrazić resztę. — Zbiorowisko walących się drewnianych piętrówek i murowanych, w większości pozbawionych tynku, ceglanych ruder. Nawet więzienie mieściło się w gmachu wyjątkowo nie po-klasztornym, więc i ono było brzydkie...

Wśród tej szpetoty uwijało się cztery tysiące mieszkańców, przybranych na czarno, w długie kapoty i płaskie kaszkiety, jakby chciało ponurą powagą stroju zaznaczyć swą rezygnację wobec niezachęcającego wyglądem otoczenia. Jednakże pod tym ciemnym spokojem szat kołatały się niespokojne i niezrezygnowane dusze, napełniając powietrze zgiełkiem i harmidrem.

Do lokalnego harmidru przyłączał się w dnie targowe turkot bryk, wozów i powozów, grzmiących po „kocich łbach" ulic i rynku. Nad tym zgiełkiem zaś unosił się, obejmujący wszystko i wszystkich, wzrok Joska Altera.

Chociaż ksiądz dziekan zżymał się bardzo, gdy wozy i bryki omijały, stojący zresztą na uboczu, kościół to jednak nic na to nie mógł poradzić. Ksiądz swoje, a parafia swoje. — Josek w życiu codziennym zaćmiewał Skargę. I nie tylko Skargę! Zaćmiewał również cukiernię Górnickiego (coprawda nie Łukasza), w której po posiedzeniu Koła Związku, zbierali się okoliczni ziemianie, głęboko przekonani, że udzielają temu lokalowi niebywałego splendoru, zaćmiewał „skład apteczny" Gawła, skolei zaćmiewający sprawnością aptekę, zaćmiewał „skład win, wódek i artykułów kolonialnych" Kalwasa, a nawet zaćmiewał samą spółdzielnię rolniczą, mającą wszelki towar na składzie.

Josek miał krótszą, niż inni kapotę, krótszą, (strzyżoną!) brodę i dłuższe buty z cholewami — wyraz spokojnej, godnej wytworności. W kieszeni miał grubszy niż inni notes a w nim dłuższą niż inni listę klientów, spraw i interesów, opisanych tajemniczymi hieroglifami.

Zaćmiewał Górnickiego, gdyż miał lepsze i świeższe informacje i plotki, niż te, które wymieniano w cukierni, a ciastka lub tort zamówiony przez okoliczny dwór rano, Josek dostarczał z każdej wskazanej cukierni warszawskiej tego samego dnia po południu. Po cenie oryginalnej! Bez dodatkowego zarobku! — Tę „bezinteresowną" usłużność potrafił sobie wynagrodzić we właściwym momencie, bezboleśnie dla uśpionego pacjenta, a sowicie. To samo było z lepszymi trunkami, których Kalwas nie mógł stale mieć na składzie, to samo było z wielu innymi rzeczami, a nawet z losami loterii „klasycznej" i z... końmi.

Zasadniczo konie — to były Zylbersztajny. Dwa brodate chłopy, jak dęby. Jeden rudy, drugi czarny. Handlowali końmi nie zawsze pewnego pochodzenia. To też trzeba było być ostrożnym przy transakcjach. Dostarczali wszelkich ras i gatunków. Fornalskich, wyjazdowych i wierzchowych. Demonstrowali każdego konia osobiście. Jeździli bez siodeł, na derkach, rozstawiając łokcie szeroko od siebie i powiewając w galopie połami kapot, ku nieopisanej uciesze nas, młodzieży. Jeździli odważnie. Konia się nie bali, wbrew wszelkim rozpowszechnionym anegdotom.

Ale i to bez Joska obyć się nie mogło. Przynajmniej nie wszędzie. Josek bowiem był pewnym w sensie tajnym właścicielem paru okolicznych majątków. Dziedzic swoją drogą, a Josek swoją drogą. Jeden tak sprawował swą władzę, drugi inaczej. Czasem Josek skuteczniej. Nikt od dziedzica nic nie kupił ani mu nikt nic nie sprzedał, jeśli Josek nie dał na to zezwolenia i... przy tym nie zarobił.

Dziedzic był, w pojęciu tych, którzy Joska takimi prawami obdarzyli, jedynie użytkownikiem majątku, który winien był jawnie należeć do Joska, gdyby świat podlegał nie tym, którym „chwilowo" podlega.

Aż pewnego razu wybuchł spór pomiędzy Zylbersztajnami a Joskiem. Jak przystało na „ziemian" — o konia.

Zylbersztajny dostarczyli konia mojej ciotce bez Joskowego pośrednictwa Rzecz po prostu nie do pojęcia! Jakim sposobem w „ich" świecie dało się takie oszustwo przeprowadzić technicznie, tego do dziś nie mogę zrozumieć. Ale stało się i rzecz oparła się o rabina. Przebiegu samej sprawy jednak nikt nie zna. Poznaliśmy tylko wyrok zgoła niezwykły.

Pewnego niedzielnego popołudnia przyjechało dwóch Zylbersztajnów i Josek na jednym wozie. Zajechali w podwórze i skierowali się pieszo ku dworowi. Zapachniało sensacją, gdyż zatarg był znany nieomal w całym powiecie.

Ciotka siedziała z dziekanem, który przyjechał w odwiedziny, na tarasie.

Czarny Zylbersztajn z Joskiem zbliżyli się do tarasu i po uniżonych powitaniach położyli na stole... pięćdziesiąt złotych.

Rudy stał zdala pod akacją i śmiał się.

— Rabin kazał dać pani dziedziczce pięćdziesiąt złotych, żeby pani dziedziczka zrobiła z nimi co sama zechce — powiedział Josek.

Piorun z jasnego nieba zrobiłby mniejsze wrażenie. Wyrok był nieprawdopodobny. Wszyscy stali w milczeniu. Wreszcie ciotka wzięła do ręki banknot, a zwracając się do dziekana rzekła:

— Księże dziekanie, na konserwację tablicy Potra Skargi...

Podszedłem do Rudego Zylbersztajna, który omal nie tarzał się ze śmiechu pod drzewem.

— Uś! Nie mogę! Ja się dzisiaj śmieję, jak diabeł. Pan wie, kiedy się diabeł śmieje? Nie? Jak złodziej złodzieja oszuka.

Nigdyśmy się nie dowiedzieli, jakie były motywy tego zadziwiającego wyroku.

BONZO

TEATR POLSKI NA OBCZYŹNIE

„KWATERA NAD ADRIATYKIEM“

Zbliża się godzina 10 wieczorem. W pubie „Jack Straw's“ już krzyczą: „Time, gentlemen!“ Nie napisałem ani słowa — poza tytułem „Kwatera nad Adriatykiem“ A jednak dokoła jest pełno słońca, morza Adriatyckiego i włoskiej piosenki. Odśpiewałem ich coś z siedem. Tyle też chyba wypiłem, jak oni tu mówią „strzałów“, wina.

Jakże pisać, skoro zanim się ta „Kwatera“ zjawiła na scenie i zanim powstała jako dzieło sceniczne, odwiedzałem ją przecież wielokrotnie, a Michał, porucznik Zenon, major Antoni, ba Angelina, Teresa i signora Scalpi byli mi osobiście znani. I znane mi było przedtem wszystko, co się działo na scenie „Ogniska“. Ta sztuka była przedtem życiem.



F. Karpowicz, Z. Blichewicz, Br. Przyłuski

Dlatego smutno musiało być krytykom, którzy przyszli na przedstawienie z gotowymi do strzału wiatrówkami, szukając na tarczy komedii bezbronnej papierowości. Nijako musiało być tym mądrym i pewnym, którzy znaleźli, choć nie chcieli, i charaktery i prawdę psychologiczną. Zamiast bowiem komedii znaleźli porcję życia, szklanicę prawdy, jasność słońca.

I to jest wielka sztuka Napoleona Sądka, że z życia prawdziwego czyni życie na scenie, a z rzeczywistości literaturę. Piękno bowiem, to nie jest wymysł artysty, ale jest to wykrój życia i zaczarowanie w kształt trwały promieniowania czy falowania żywego światła i żywych wód. Tak, aby słońce Italii świeciło na scenie polskiej w Londynie i aby życie, które minęło było przeżyciem, a nie bezkrwistym wspomnieniem lub literacką abstrakcją.

Taka też jest „Kwatera nad Adriatykiem“ — tkanina uszyta z nici słonecznych, obraz malowany szczerym do dna sercа językiem, rzeźba z chodzących modelów.

Sądek jest najlepszym z polskich humorystów poza Krajem. „Kwaterą“ dowiódł swego nieprzeciętnego talentu komediowego. Kilku recenzentów wysiliło się na dowodzenie, że „Kwatera nad Adriatykiem“, to tylko farsa. Języki nasze coraz bardziej się mieszają: wszak farsa, to komedia nieprawdopodobieństw, komedia, której sytuacje są niemożliwe w życiu, sztuka, której celem jest komizm za wszelką cenę. A sztuka Sądka jest najklasyczniejszą komedią, napisaną wedle wszelkich wzorów i konwencji komedii tradycyjnej. Słusznie nazwano ją „Damami i huzarami“ naszych czasów.

A czy zgodna z życiem? Powtarzam: oglądałem ją własnymi oczami, nigdy nie przypuszczając, że może się stać sztuką.

Więcej — w komedii Sądka są też konflikty prawdziwie dramatyczne. Słowem — „Kwatera nad Adriatykiem“, to doskonała komedia, pisana wzorowym językiem z prawdziwie żołnierską fantazją słownikową, huczącą huraganem dowcipu, przepojona głębokim liryzmem i zbudowana na ideowym fundamencie. Pomysłowo spięta prologiem i epilogiem.

Streszczać jej nie ma powodu: komedii, a zwłaszcza dobrych komedii, się nie streszcza.

Aktorzy — nie, najpierw reżyser — dyrektor Leopold Kielanowski. Po prostu: nie mógł stworzyć niczego lepszego. Kielanowski opracowując sztukę, myśli, rozumie i widzi. I jeszcze jedno: sam się bawi. Wszystko to w sumie znaczy: tworzy.

Aktorom stawiam noty: Barbara Reńska — bardzo dobra, Beata Ostrowska — bardzo dobra (ze szczególnym zamiłowaniem do przedmiotu), Maria Sznukówna — celująca, Feliks Karpowicz — bardzo dobry, Bronisław Przyłuski — bardzo dobry, Zbigniew Blichewicz — celujący. Noty zawsze trochę krzywdzą. Szkoda, że nie ma cenzurki wyższej nad „celująco“ — dałbym ją Blichewiczowi.

Nie ma niestety miejsca na analizę tych pochwał. Bronisław Przyłuski jest zgodnie z życiem — poetą na scenie. Taki koncert gry oczkami, jaki dała Sznukówna, to jest kreacja do uwiecznienia. Oglądając i słuchając liryczne Ostrowskiej, zrozumiałem, co to znaczy tajemniczość kobieca (nie mówiąc o stosunkach rodzinnych).

Wreszcie dekorator — Jan Smosarski. Ta chłopina, uformowana z serca i złota, wyczuwa radość życia, jak mało kto. Dlatego udekorował scenę radośnie. Płyta „Catari“ udekorowała ją boleśnie. Ilekroć myślę o Italii i słyszę włoskie piosenki, najsilniej wtedy żałuję, że życie mija...

Jan Bielatowicz



Barbara Reńska

Zdjęcia:
Z. KWIATKOWSKI
i Archiwum ZASP

CO MÓWI O SZTUCE AUTOR?

Przedstawiciel naszego pisma zwrócił się w związku z sukcesem komedii Napoleona Sądka pt. „Kwatera nad Adriatykiem“ do autora, prosząc o wywiad.

Autor oświadczył najpierw, iż „fatalnie się dziś czuje“, ale pod wpływem szczególnej sympatii dla „Gazety Niedzielnej“ udzielił naszemu korespondentowi teatralnemu wywiadu, który poniżej zamieszczamy:

— Dlaczego rozpoczął pan swoją twórczość teatralną na emigracji od wspomnień z 2. Korpusu?

— Bo te wspomnienia zaliczam do bardzo pięknych w moim życiu.

— Zaczął pan od okresu rozwiązania Korpusu. Czy można wiedzieć dlaczego?

—Nie czułem się jeszcze na siłach, żeby sięgnąć do okresu bohaterskiego.

— Czy w przyszłości ma pan taki zamiar?

— Jeżeli podołam, to tak.

— Czy „Kwatera nad Adriatykiem“ jest oparta na prawdziwych wydarzeniach?



Beata Ostrowska — nowy i wielki talent sceniczny

— Na prawdziwej atmosferze. Już we Włoszech interesowała mnie przyczyna masowych małżeństw polsko - włoskich. Niektórzy te małżeństwa potępiali. Ja starałem się swoich kolegów zrozumieć i usprawiedliwić.

— Czy postać strzelca Michała jest postacią autentyczną?

— Takich Michałów było w Korpusie tysiące.

— Mam wrażenie, że w tę postać włożył pan najwięcej serca.

— Tak. Pozostał we mnie bardzo głęboki sentyment dla naszego żołnierza.

— Kiedy i gdzie napisał pan tę sztukę?

— Napisałem ją w Londynie, we wrześniu zeszłego roku.

— Czy jest pan zadowolony z gry aktorów?

— Bardzo.

— A z reżyserii?

— W moim pojęciu jest doskonała. Dała mi jako autorowi pełną satysfakcję.

— Jeszcze jedno pytanie, ostatnie: Dlaczego bohaterowie sztuki noszą karpackie jodełki na ramieniu?

— Przez sentymenty oddziałowe autora. Jestem żołnierzem Dywizji Karpackiej.

W gnieździe Piastów



Pół przedwojennego Lwowa mieszka dzisiaj we Wrocławiu. Tysiące paczek z Wielkiej Brytanii dzień w dzień wędruje na poczty tej wyspy. Spracowane ręce robotników, górników i rolników starannie wypisują na płóciennych, lub — rzadziej — papierowych opakowaniach nazwy ulic Wrocławia — dalekich i niemal egzotycznych: Błogosławionego Czesława, Wita Stwoarza, Niski Zaułek, Oławska... Paczki i listy idą, przychodzą odpowiedzi, ale mało kto opisuje stare, a jednak nowe dla nas, piastowskie i nasze, lecz zupełnie nieznane miasto.

A jednak warto wiedzieć coś o Wrocławiu, który przytulił tylu bliskich nam ludzi. Tym bardziej, że miasta Ziem Odzyskanych straciły już swój początkowy egzotyzm — są dla powojennej Polski może bardziej charakterystyczne, niż miejscowości centralne — z wyjątkiem jednej Warszawy, powstającej jak feniks z popiołow.

Życie Wrocławia jest nowe, stworzone tu od podstaw, uformowane według planu — takiego czy innego, dobrego, a może złego z naszego punktu widzenia, ale planu. Wszystko niemal, co polskie jest tu świeże, proste i wyraźne, mimo prastarych murów.

A mury to potężne i narzucające się od razu każdemu, zwiedzającemu Wrocław. Miejskość jest tu ogromna pomimo zniszczeń i mimo olbrzymich przestrzeni zielonych parków i dzielnic willowych, okalających śródmieście. Parki i ogrody nie kłócą się z miastem — przeciwnie podkreślają i by tak rzec, garnirują historyczność Wrocławia, dają mu szerszy oddech. Każdy mieszkaniec tego miasta żyje w szerokiej przestrzeni, wśród dalekich perspektyw.

Długie, wielokilometrowe linie tramwajowe, aleje i parki wiodące w stronę Stadionu Olimpijskiego, ku Zalesiu i ku Sępolnu — prowadzą bulwarem Powstańców Śląskich do pięknej parkowej dzielnicy Krzyki. Zalesione wybrzeża Odry i jej licznych odnóg oraz kanałów, wielka ilość mostów i z rozmachem kreślonych przedmiejskich ulic — to wszystko nadaje miastu charakter ogrodowy, pełen oddechu i wiatru.

Rozmach cechuje także śródmieście Wrocławia, choć miasto rozwinęło się, jak Kraków, z średniowiecznego centrum przy rynku, okolonym wąskimi uliczkami, przypominającymi nam, wiecznym turystom, przedziwne, kryte tunele zgiełkliwej Jerozolimy, tej najstarszej, między murami. Oto Garbary — uliczka-kenion: ciemna, posępna wśród czarnych, wysokich murów. Zaraz obok Białoskórnicza i Rzeźnicza — dziś pełna ruin i zachowanych tu i ówdzie fasad przepięknych artysta fotograf znajdzie i dzisiaj, mimo ogromnych zniszczeń, prawdziwe perły średniowiecznego piękna.

A jednak — i to jest najciekawsze — to Stare Miasto doskonale godzi się z współczesnością. Wystarczy wyjść na Rynek, aby się przekonać, że czcigodne, zgrzybiałe mieszczki — kamieniczki z XIII i XIV wieku harmonizują doskonale z nowoczesnym, dziewięciopiętrowym domem ze szkła i żelbetonu. Co prawda architekt użył małego podstępu: piętra kamieniczek, zdobionych koronkami murarskiej roboty. W tej najstarszej części miasta miłośnik starej architektury lub są wyjątkowo niskie i dlatego budynek nie wystrzela nad starsze pokolenie domów..

Ze spokojem i może z sympatią patrzy na nowoczesnego intruza-nieintruza przepiękny XIV-wieczny ratusz. To cud niemal, utkany z fantazji, jakby żywcem wycięty ze starych sztychów. Nie, jednak nie. Kolorowy, mozajkowy dach Ratusza, jego czerwona wieża z zielonym daszkiem i z zielonym zegarem o złocistych wskazówkach odsuwają myśl o ciemnych sztychach — to raczej malarstwo, najlepsze kolorystyczne malarstwo.

Wrocław jest harmonijny. Wydaje się, że jak drzewo wyrósł z gotyckiego i barokowego, mieszczańskiego podłoża — swego centrum. Organicznie przerodził się w trzeźwe miasto współczesne. Gotyk starych budowli pogodził się z nowymi murami, nie wytwarzając zgrzytów ni dysonansów — rozszerzył się, nabrał rozmachu. Tak powstało dzisiejsze śródmieście, wylewające się daleko poza dawne Stare Miasto, ale zabarwione już na zawsze gotykiem.

Oto parę przykładów. Zbudowany w XII wieku kościół Bożego Ciała, czyli Kawalerów Maltańskich bez najmniejszego dysonansu sąsiaduje z ogromnym, poniemieckim domem towarowym, obecnie wyremontowanym.

Kościoły Wrocławia! To księga sama dla siebie — księga niemała i pełna chwały. Uczą one przede wszystkim, że polskie średniowiecze i polski gotyk były jasne, pogodne, weselsze od niemieckiego.

Wrocław posiada obecnie 22 przeważnie zniszczonych podczas wojny, ale w znacznej mierze już odbudowanych kościołów, a pod koniec średniowiecza miał ich czterdzieści. W ich kamiennych kształtach utrwaliła się żarliwa wiara naszych przodków.

Kościoły skupiły się głównie w śródmieściu. Zacznijmy od ulicy Swidnickiej — wrocławskiej Marszałkowskiej — głównej magistrali miasta, ruchliwej i gwarnej, z wielkim domem towarowym i z teatrem. Zaraz za nim, tyłem do ulicy, stoi ogromny, ceglany kadłub kościoła św. Stanisława i św. Doroty. Olbrzymi, niebotyczny fronton świątyni patrzy na mały placyk Franciszkański — pełen dzieci, odprawiających swoje zabawy. Uderza ogrom tego kościoła — droga od głównego wejścia w mrok przyćmiony witrażami, ku wielkiemu ołtarzowi, wydaje się bardzo długa.

Chodźmy dalej! Mijamy dawny zbór ewangelicki, obecnie kościół św. Magdaleny. Stoi on wśród ruin. Dwie surowe, czerwone wieże strzelają w górę — nad rumowisko — jakimś triumfalnym choć tragicznym akcentem.

Kościół św. Elżbiety (obecnie garnizonowy) jedną stroną obrócony jest do ulicy Studenckiej i rynku, a drugą sąsiaduje z ponurą, wypaloną dzielnicą. Martwe domy piętrzą się przy olbrzymiej świątyni jak zniszczone makiety teatralne, jak porzucone zabawki liliputów. O wielkości tego kościoła daje pojęcie fakt, że stojące obok trzy stare, urocze kamieniczki kilkupiętrowe nie sięgają mu nawet do podstaw dachu. Środkowa nawa jest tak wysoka, że można dostać zawrotu głowy, gdy się spojrzy do góry — okna nad wielkim ołtarzem zdają się biec w nieskończoność. Na wielkim ołtarzu — nietaktownie i jakby na urągowisko, umieszczono olbrzymiego białego orła. Wątpliwe, czy czuje się on dobrze na tle polskiej, a raczej na pół rosyjskiej rzeczywistości Kraju, szpecąc w dodatku wspaniałe wnętrze.

Gdy wejdziesz do Zaułka Uniwersyteckiego, ogarnie cię zmierzch mimo, że dzień jest jasny. Przytykający do uniwersytetu kościół pojezuicki (dziś św. Macieja) skrywa swe monumentalne wnętrze za ponurą, posiekaną pociskami ścianą. Wąska, romantyczna uliczka wyprowadza na Plac Uniwersytecki.

Przejdźmy na Wyspę Piaskową — ostrów pomiędzy odnogami Odry. Miniemy ciężki, romański tum Najświętszej Marii Panny, aby przez malowany na zielono Most Tumski wejść na plac Kościelny, gdzie wita nas z lewej strony — także zielona — wysmukła wieżyczka gotycka kościoła św. Krzyża. Przed nami ogrom katedry, będącej właśnie w odbudowie.

Wracając z Wyspy zajdźmy do dolnego kościoła św. Krzyża (zwanego także kościołem św. Bartłomieja). Wpadniemy tu niespodziewanie w niskie, pełne kolorów wnętrze, drgające złocistym pyłem przeciekacego przez szyby słońca.

Jesteśmy znów na moście Tumskim, łączącym Wyspę Piaskową z Placem Kościelnym: to może najbardziej uroczy zakątek Wrocławia, jak Wenecja odbijająca się w wodach swoich kanałów. Niestety Wenecja to raczej wspomnień przeszłości, patrzącej pustymi oczami wypalonych domów.

Ruiny wrocławskie są jednak malownicze i jakoś dziwnie fotogeniczne. Może nie dla stałych mieszkańców, bo dla tych problem mieszkaniowy nasuwa zbyt wiele kłopotów. Turysta może by jednak mógł powiedzieć (a nawet uczynił to jeden z nich), że Wrocławiowi do twarzy z ruinami.

Wolimy jednak nie zagłębiać się w te teoretyczne rozważania. Wolimy życzyć tym, do których ślemy paczki i listy, aby ich Wrocław, nasz Wrocław jak najszybciej zabliźnił swe rany.

Michał Pytlik



EDWARD W. CHUDZYŃSKI

Pieśń Wielkanocna

Słowa zielone, słowa wiosenne.
Brzozowosokie, wysokopienne,
Czeremcholistne — w podcieniu płotów...
Melodia wczesnych, ptasich powrotów.

Pnie się do góry olcha strzelista
Panna Poleska — soczystolistna,
A wzdłuż gościńca wierzbiny stare
Puszczają pędy smukłych fujarek.

Wiatr chwycił w dłonie chmury wełniane,
Po niebie goni z krańca na kraniec.
A w lepkich pąkach rodzą się słowa...
Pieśń nad pieśniami — stukolorowa.

Z wapnem bielonej, cichej plebanii
Dzwon się rozdzwonił, wczesny, poranny.
— Kwietniowe słońce śpiewa nademną
Pieśń Wielkanocną — wczesnowiosenną.

Edward Chudzyński